Nr. 9. Warszawa, dnia 15 (27) Lutego 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy, kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

EUROPA NA KRECIE.

Pułkownik Tymileon Vassos, przysłany przez króla greckiego dla zajęcia Krety, przyłączenia jej do Grecyi, i tymczasowego urządzenia, wylądował d. 15 b. m., nie na wschodzie wyspy — jak głoszono, aby prawdę zataić — ale tam, gdzie już 13 b. m. objawiły się podejrzane ruchy flotyli ks. Jerzego na morzu, a schadzki zbrojne i pochody powstańców na lądzie: u wybrzeży półwyspu Akrotiry, na północo-wschód Kanei, zaledwie o kilkanaście kilometrów odległej. Samo już wylądowanie zwołało młódź grecką na Krecie pod broń, a walczącej już pod Kaneą otworzyło źródło siły i dało ostoję w boju. Stolica Krety miała już wpaść w moc powstańców — Vassos bowiem mógł ich męstwo zaopatrzyć w armaty, których jeszcze do zmożenia wroga potrzebowali — gdy nagle przyszło Turkom miejscowe ocalenie z tej samej strony, z której grozi im stale powszechna zagłada: z Europy. Komendanci okrętów europejskich w porcie otrzymali rozkazy wysadzenia na ląd owych 450 historycznych dziś już marynarzy i zajęcia Kanei wprzód, zanim biała z murów jej powieje chorągiew.

Europa zrobiła dla Turków jeszcze coś więcej. Gdy po skombinowaniu sił powstańczych z regularnemi d. 21 b. m., w niedzielę, toczyła się pod Kaneą walka wywołana przez wojsko tureckie, i na niepomyślny już dla niego tor wchodzić zaczęła, okręty europejskie stojące w porcie jęły kolejno ostrzeliwać pozycye greckie. Pierwsze strzały wypadły z dział angielskich, z trzech wielkich okrętów, potem z innych, aż do skutku, dopóki Grecy nie ustąpili. Doniesienia telegrafu dyplomatycznego twierdzą, że stało się to, zanim jeszcze kolej strzelania przyszła na okręty włoskie i francuskie, i milczenie ich tą tylko okolicznością tłómaczyć sobie wolno; przytem — opiewają buletyny wojenne dyplomacyi — dano tylko siedemdziesiąt strzałów, nie zabito nikogo, i nie strzelano nawet wcale do wojska greckiego, ale do powstańców, więc do czegoś, co przecież tylko *une quantité negligeable* przedstawiać może i powinno. Zupełną niewinność strzałów odwołały doniesienia późniejsze; ale czy byli zabici, czy nie, czy z wojska regularnego, czy z powstańców? — o to mniejsza: dość, że Europa strzelała do Greków. To samo już daje wymowną charakterystykę położenia.

Odgrażała się jeszcze Europa, że pozajmuje wszystkie punkta ważniejsze na północnem przynajmniej pomorzu. Napewno wiemy tylko o zajęciu Sityi, na krańcu, już ku Wschodowi; miano też w tych dniach zająć Kandyę i Retymnon. Nawykła zawsze tylko do demonstracyi, dyplomacya wtargnęła i teraz do Sityi wtedy dopiero, kiedy już chrześcianie wyprawili w niej rzeź Turkom. Apetyt przychodzi po pierwszym kęsie: dowódzcy flot sprzymierzonych przeciwko Grekom na Krecie niezadowoleni są z rozkazu chwytania statków dowozowych greckich, dopominają się na nowo upoważnienia, pragną ogłodzić korpus Vassosa, sami nie wróżą ani sobie, ani Europie nic dobrego ze swych robót, jeśli Grekom z Grecyi wolno będzie stać dalej na wyspie i uwijać się u brzegów. Konsulowi greckiemu w Kanei przemocą zdjąć kazano flagę z dachu, pod którym mieszka, strzelano nawet do flagi — bo i to nieprzyjaciel tak dobry, jak inny. Strzelanie do ludzi powtórzyło się pod Kaneą w poniedziałek lub we wtorek: znowu usprawiedliwienie, że to tylko powstańcy, więc motłoch, o który dbać nie potrzeba.

Na te upokorzenia i jawną nieprzyjaźń Grecya dotychczas odpowiada stałością w zamiarach. Dyplomatom w Atenach rząd oświadcza, że cofnąć się już nie może; księżę Jerzy z Melos zagrzewa do walki i rozżarza nadzieję; okręty greckie dowożą broń, amunicyę i żywność; sejm ateński oburza się na mocarstwa, król grecki (w niedzielę) przemawia do ludu, jako wykonawca jego politycznych mandatów, a od takich przemów lud cały płonie.

Stoją więc przeciwko sobie dwie potęgi: dyplomacya i uczucie ludowe; rozsądek i namiętność. Pierwsza z tych potęg pragnie okiełznać drugą, tak dobrze na wyspie, jak na lądzie Europy, na półwyspie bałkańskim, jak na zachodzie, w Paryżu i Londynie, jak w Berlinie lub Wiedniu. Wszystko, co żyje, a trzyma się klamek rządowych, usiłuje wytworzyć jakby jedną powszechną straż pożarną Europy: wszyscy, drżąc przed płomieniem, lękają się iskry, strzelają do Greków, aby nie strzelać do siebie. Daremnie w Paryżu Millerand, w Londynie Labouchere uderzają w skałę czarnoksięską laską, tak zaszczytnych tradycyj: z głębi tryskają tylko uchwały zaufania dla ministrów — w Londynie d. 22 b. m. 243 głos. przeciwko 125, w Paryżu, tegoż dnia 413 gł. przeciwko 83. Już z tych liczb widać, że Paryż karniejszym jest od Londynu, którego konduita jeszcze się gorszą okaże, gdy zważymy, iż jednocześnie z uchwałą w parlamencie odbywał się na mieście wielki *meeting*, a na nim filhellenizm czasów Byrona błyskał i zapalał. We Włoszech, w Szwajcaryi, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej życzliwość dla Grecyi wciąż rośnie. Rudini, zapowniając, że idzie w szeregu z innymi, uspakaja przecież, że się tradycyom Włoch względem narodu greckiego nie sprzeniewierzy.

Choćby z tych europejskich i amerykańskich sympatyj nic Grekom na Krecie

nie przyszło, choćby rzeczywistość przekonać miała, że strzały angielskie z d. 21 były szczere, a szczerość włoska w czyn żadnen nie wystrzeliła, dyplomacya jeśli chce hydrze łeb urwać, śpieszyć się musi, bo wiosna się zbliża, a wraz z tajaniem śniegów mogą i długo pętane żądze na półwyspie Bałkańskim roztajać. Zbrojenie się Porty jest jak przekaz zdany na księżyc; jej 250 batalionów na granicach tessalskich doczeka się prędzej rozkoszy raju, niż zgromadzenia pod sztandarami na ziemi. Grecya, słaba sama przez się, w porozumieniu przecież z Bułgaryą, z którą więcej ma punktów zetknięcia, niż z Serbią, może zamącić ciche zwierciadło wód wraz z odbijającem się w niem niebem wszechmocy dyplomatycznej.

Tydzień polityczny. Jak przed 30 laty, tak i teraz Kreta przykuwa do siebie uwagę całej Europy. Publicyści i dziennikarze domyślają się tajemnych zachęt angielskich. Sam nawet p. Bismarck rzuca na Albion podejrzenie o grę na dwu fletach: jednym, greckim — ordynarnie-rewolucyjnym, drugim, europejskim — delikatnie-koncertowym. Najgorliwiej zabiega o pokój cesarz Wilhelm.

Dyplomacya układa teraz jakieś prawo konstytucyjne dla Krety, na wzór Samosu. Ma to być samorząd zupełny z gubernatorem Grekiem, ale z ramienia sułtańskiego. Strażniczka pokoju tak pewna jest powodzenia, że sprowadza ze Stambułu Focyadesa-beya na nowego gubernatora, sprowadza nawet organizatorów żandarmeryi, której obecne powstanie Greków — zdaje się już ostatnie — nie pozwoliło się wykluć z jaja mądrości składanej. Lepsza jeszcze otucha napełnia Greków: Europy rzecz prosta, nie zmogą, ale ją znużą, sprowadzą do mianownika auto-krytyki, podetną jej skrzydła — samym swym uporem.

Z genialnością blokady idzie o lepsze „protokół bezinteresowności," któryby podpisać kazano Grecyi, Serbii i Bułgaryi: jako przez lat 10 żadne z nich w Macedonii ani drgnie. Gdy *Figaro* chwali cesarza Wilhelma za blokadę i za całą politykę wschodnią, kreteńską w tej chwili, zadowolenia z tej pochwały wydzierać nie wolno, również jak i laurów *Morning Posta*, rzucającego pomysł onego protokółu. Mnóstwo wody warzy się i w gabinetach i w redakcyach wpływowych dzienników europejskich — zapewne z uwagi, że zawsze to lepiej wodę warzyć, niż kule lać. Książę Jerzy, jako gubernator turecki, jeszcze nie zupełnie z widowni ustąpił. Z nim albo bez niego obejmie wyspę w zarząd Europa — ciągle Europa. Istota, czy manekin? Chyba to drugie.

Cesarz austryacki z powodu wypadków opóźnił doroczny wyjazd swój na Rivierę. W marcu ma jechać do Petersburga. Zjazd jednoczesny mógłby być tylko wzmocnieniem potrójnego przymierza z epoki ponapoleońskiej. Jeżeli Austrya zechce pójść własną swą drogą, cesarz Wilhelm nie poświęci dla niej stosunków swoich z wielkiem mocarstwem; przedewszystkiem pragnie on uniknąć wojny z Francyą. Z potrójnego przymierza zostać może tylko podwojne: z Włochami — przeciw Austryi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA POSZUKUJĄCYCH PRACY.

Społeczeństwo nasze pod wpływem silnych wstrząśnień chwilowych staje się bardzo wrażliwem na niedolę ludzką. Katastrofa kolejowa, powódź, wielki pożar, głód, słowem wszelkie klęski, wytwarzające nędzę masową i cierpienia moralne, budzą współczucie niekłamane, dają bodźce do czynu. Wrażliwość ta jednak szybko przemija i o ile nie będzie wyzyskaną na razie, o ile nie pójdzie jako żelazo gorące pod młot nawoływaczów, stygnie i nie da się nigdy wydobyć środkami zwyczajnymi. Trzeba klęsk i katastrof, ażeby cokolwiek zrobić, żeby wprowadzić w czyn środki zaradcze, przeciwdziałające, choć tymczasowo, niedoli. Cierpienia codzienne, nędza rozpościerająca się szeroko, masowa, zjadająca powoli energię i życie rzesz całych, nie roztkliwia, nie budzi współczucia, nie rodzi czynu, nie psuje trawienia przesyconym, a nawet nie porusza sytych średnio lub lekko. Najwymowniejsze słowa i dowodzenia czy to w salach publicznych, na posiedzeniach różnych instytucyj, czy na szpaltach pism, przebrzmiewają suchym dźwiękiem i ulatują w przestrzeń zapomnienia. I tutaj trzeba jakichś nadzwyczajnych wypadków, wstrząsających nerwami i budzących gwałtownie wrażliwość ludzką, ażeby wywołać odruch czynu, środków zaradczych. Trzeba, jak to było przed kilku miesiącami w Łodzi—śmierci głodowej młodzieńca, pozbawionego pracy w kantorze fabrycznym, ażeby skierować uwagę powszechną na tę klęskę wielką i niebezpieczną przez swą powszechność.

Pod świeżem wrażeniem tego wypadku postanowiono stworzyć w Łodzi „Kasę braterską pomocy poszukującym pracy w biurach i kantorach, bez różnicy wyznań." Co jest ciekawsze, że inicyatywa wyszła z grona przemysłowców. Zaofiarowano liczne i poważne sumy, wysłano podanie do gubernatora piotrkowskiego, który przyrzekł poprzeć nową instytucyę. Celem jej będzie dostarczenie pewnej sumy na utrzymanie i potrzeby niezbędne każdemu młodemu człowiekowi, który przybył do Łodzi dla zdobycia stałego zarobku lub znalazł się chwilowo w krytycznem położeniu. Nadto w wyszukaniu posady pomagać mu będą członkowie urzędu, tj. sami przemysłowcy i przedsiębiorcy, którzy, o ile można, dadzą kandydatowi przedewszystkiem zajęcie u siebie lub polecą go znajomym. Na liście członków tej instytucyi znajdują się między innymi pracownicy biur rządowych, kapitał zaś powiększać mają składki uczestników, wnoszone miesięcznie.

Jest to u nas organizacya znamienna i niezwykła; znamienna, że bierze w opiekę jedynie ludzi młodych; niezwykła — że nietylko pośredniczy w wyszukiwaniu pracy, lecz daje zapomogi do czasu jej znalezienia. Szczegółowej ustawy nie znamy, tylko cele ogólne, powyżej zaznaczone. Domyślić się wszelako łatwo, że sumy, udzielone w okresie przymusowej bezczynności, będą następnie ściągane częściowo po znalezieniu zarobku. Nie wiemy także, jakimi kapitałami instytu-

---

1)

Paweł Remer.

POETA.

Ludzie są więźniami, wszyscy, wszyscy są nimi — tylko większość nie wie o tem.

Świat jest jednem wielkiem więzieniem. Dwunożne powłoki ludzkie są to pojedyncze cele, w których siedzi pokutująca dusza, skazana na dożywotnie więzienie, zajęte skubaniem wełny, szachrowaniem, nauką lub inną jaką robotą..

Jedni bywają weseli w swem więzieniu, śmieją się i śpiewają po za kratą — to są szczęśliwi!.

Inni zawzięcie brzęczą kajdanami, swarzą się o porządki więzienne i złorzeczą Bogu, nazywając go przekupnym dozorcą, dającym jednemu wino i pieczyste, drugiemu chleb i wodę — ci są niezadowoleni!..

W trzeciej celi siedzi poeta. Uśmiecha się litościwie, widząc postępowanie swych sąsiadów. Obojętnem mu jest, jakie otrzyma pożywienie, wino i pieczyste, czy też chleb i wodę — pozostanie to w każdym razie strawą więzienną.

I poeta marzy. Cichutko wsuwa się doń blado dziewczę z błękitnemi, pełnemi tęsknoty oczyma, obejmuje jego szyję i szepcze mu do ucha — dziwne rzeczy...

Poeta chwyta pióro i zaczyna pisać. Wyraz staje za wyrazem, dźwięk za dźwiękiem, obraz obok obrazu. Jego cela rozszerza się, ciasne ściany rozchodzą się do nieskończoności, staje się wielką, jak świat — nie, jeszcze większą, niż świat...

A poemat jego to tęsknota, tęsknota za swobodą, marząca, lecz pełna skarg, lub znowu męzko zuchwała, wybuchająca śmiechem humoru, któryby pragnął ciasny świat więzienny roztrzaskać, jak szklankę wysączoną do dna!..

NIEURODZENI.

Jakże szczęśliwi byliśmy przed urodzeniem naszem...

Żyliśmy w bagnie, het, na końcu świata, tam, gdzie jest on zabity deskami, gdzie drewniany płot ludzkiego poznania dzieli skończoność od nieskończoności. A to bagno zaczynało się bezpośrednio za owym płotem z desek. Każde z nas siedziało na szerokim liściu róży wodnej; oddzielono go każdemu jako jego własność, jego miejsce zabawy, jego królestwo — toć byliśmy maleńkiemi dziećmi, nieurodzonemi jeszcze, i listek róży wodnej zapewniał nam dość miejsca...

Żyliśmy szczęśliwi, bo nie mieliśmy żadnych życzeń. Wiara i zwątpienie były nam obce. Ani cień myśli nie mącił jasnego zwierciadła naszej duszy—myśl jest złym robakiem, toczącym szczęście ludzkie!..

Nie znaliśmy teraźniejszości, nie znaliśmy też przeszłości, ani przyszłości. Czas był dla nas wiecznością — morzem bez początku — bez końca...

Pluskaliśmy się w wodzie, a gdy nas krople moczyły, śmieliśmy się srebrnym, dźwięcznym jak dzwon, jasnym, aż do głębi przezroczystym śmiechem! Człowiek urodzony nie zna takiego śmiechu; śmiech jego jest jedynie przeciwieństwem płaczu, nie zaś istotnym śmiechem...

A jednak i nas prześladowało coś posępnego, jakaś obawa nieokreślona, która nie pozwala szczęściu naszemu być całkowitem. Nieraz oczy nasze wpijały się pytająco w płot: co jest po za nim?.

Od czasu do czasu zjawiały się stamtąd wielkie, białe ptaki, o długich, cienkich, czerwonych nogach. Nieświadomie przeczuwaliśmy jednak, że to nasi wrogowie; na ich widok wpadaliśmy w wodę, jak wystraszone żaby...

Ale wielkie, białe ptaki za każdym razem potrafiły pochwycić jednego z nas, nieraz dwu lub trzech nawet. I jeszcze zdala dochodziły nas rozdzierające duszę krzyki porwanego, gdy wielkie, białe ptaki przelatywały z nim przez płot z desek...

Co było po za nim?.. Co było po za nim?!..

cya będzie rozporządzać. Wiadomo tylko, że zaofiarowano *liczne i poważne* sumy. To cyfry nie określa, jak również sami twórcy tej kasy zapewne nie mają danych o średniej liczbie młodych ludzi, przybywających do Łodzi w celu zdobycia zarobku. Liczba ta musi być bardzo znaczna i ulega zapewne wielkim wahaniom, odpowiednio do pory roku. Nie wiemy wreszcie, jakiej kategoryi „młodzi ludzie" będą mogli korzystać z tej pomocy i pośrednictwa. Sądząc z ofiary niepowodzenia i warunków bytu — człowieka, który zginął śmiercią głodową, można wnosić, że brani tu są w rachubę oczywiście ludzie oświeceni. Zresztą sama logika każe przypuszczać, że pierwszeństwo i uwzględnienie muszą mieć fachowcy, wogóle ludzie zdatni do pracy produkcyjnej. Inaczej zresztą być nie może, bo do wszystkich wielkich ognisk pracy zwykle napływają liczne rzesze poszukiwaczów zarobku, których większość stanowi kategoryę „do wszystkiego i niczego." Takich niewątpliwie nowa instytucya uwzględniać nie będzie, bo przyniosłoby to szkodę członkom-zarobkodawcom. Trudno od nich wymagać, ażeby ze swoich zakładów przemysłowych i przedsiębiorstw stworzyli przytułki dobroczynne. Chcą oni wyłowić najnajlepsze siły, które dziś z braku właściwego pośrednictwa marnowane są w bezczynności lub pracy zupełnie innej, nieodpowiadającej uzdolnieniu specyalnemu.

Obecny chaotyczny rynek pracy stanowi zjawisko bardzo smutne, nienormalne i szkodliwe dla bytu społecznego, bo zarówno specyaliści, jak i niespecyaliści dają pracę *niefachową*. Tak np. technicy, buchhalterzy, mechanicy, technolodzy itd. nie mogąc się dostać do właściwych zakładów, przyjmują pierwsze lepsze zajęcie, nieodpowiadające ani ich wykształceniu, ani zdolnościom. I odwrotnie: ludzie bez żadnych przygotowań specyalnych, rozbitki, którym się nie powiodło w szkołach i wielu dziedzinach pracy na oślep branej, otrzymują przypadkowo zajęcia, które wymagają i wiedzy i zdolności specyalnych. Takie nieprodukcyjne zużytkowywanie sił na oślep jest dziś zjawiskiem powszednim, daje pracę jałową, a więc zniża poziom dobrobytu ekonomicznego.

„Kasa braterska" w Łodzi nie będzie wprawdzie środkiem cudownym, zmieniającym do gruntu tę nienormalność i zapewniającym zarobek wszystkim uzdolnionym poszukiwaczom jego; ale bądź co bądź przyniesie pewną ulgę, złagodzi klęski obecne, o ile zechce program swój rozwinąć w taki sposób, w jaki obiecuje. Zresztą jest to zawiązek przeciwdziałań w formie nieco racyonalniejszej, przypominającej trochę urządzenia amerykańskie. To też nie wnikamy w subtelności pobudek tej organizacyi; bierzemy ją jako fakt dotąd niezwykły w naszych stosunkach.

Pośrednictwo w wyszukaniu pracy i pomoc w razie przymusowej bezczynności nie mają dotąd u nas formy programowej, nie stanowią instytucyj społecznych. Pośrednictwo wprawdzie istnieje, ale jako spekulacya, a więc nie odpowiada właściwemu celowi i nie cieszy się zaufaniem powszechnem. Pomocy w okresie poszukiwania pracy udzielają tylko lichwiarze i to w takich wypadkach, jeżeli mają jakąś rękojmię odebrania sumy z olbrzymim procentem. Innego rodzaju pośrednictwo, zorganizowane przy stowarzyszeniach, jak np. pracowników handlowych i przemysłowych, jest zaledwie cząstką działalności, urządzeniem niemal prywatnem, dla ograniczonej garstki kandydatów.

To też nową organizacyę łódzką witamy z uznaniem, nie dlatego, że jest ona czemś bardzo wielkiem i zbawczem, lecz że może być impulsem, pobudką do szerszej pomocy społecznej nie-dobroczynnej. Tego rodzaju zabiegi cieszą się dzisiaj uznaniem i poparciem władz ministeryalnych. Najważniejszym więc jest ten impuls społeczny, bez którego nie podobna marzyć o takich urządzeniach, które nietylko ułatwiłyby zdobywanie zarobków, tudzież istnienie w chwilach bezczynności przymusowej, lecz zarazem stałyby się czynnikiem regulacyjnym na rynkach pracy, tj. dostarczającym odpowiedniej ilości sił fachowych i odstręczającym żywioł niezdatny, nieprodukcyjny, lecz natomiast pożyteczny po za ogniskami przemysłu i handlu wielkiego.

H. K. T.

I.

Gdy z Warszawy przez Toruń jedziecie do Poznania i na dworcu toruńskim zabijacie nudę odczytywaniem reklam i afiszów, rozwieszonych po ścianach, uderzy was niewątpliwie wielki plakat w czarno-białych barwach, a na nim taka przygrywka u bram państwa pruskiego:

„Deutsche Zeitung, unabhängiges Tageblatt für nationale Politik. Ein Blatt für die gebildeten Deutschen aller Stände, *rücksichtslos deutsch gegen alles fremde*" *).

To Prusy! Cień Bismarcka zjawia się przy was i odtąd gdziekolwiek na pruskiej ziemi stopę swą postawicie, cień ten towarzyszyć wam będzie, urośnie w tysiączne kształty, zolbrzymieje i czy to Księstwo, czy Szląsk, czy Prusy Zachodnie, czy Warmię obejmiecie spojrzeniem, wszędzie ujrzycie pracujące ssawski sturamiennego polipa. Gdy wola młodego monarchy usunęła od steru żelaznego starca, mówiono: „umarł," a gdy z głębin rzekomej mogiły głos jego donośnie brzmiał po kraju, uśmiechali się nasi marzyciele polityczni, cedząc z lekceważeniem przez zęby, że padł nie jak wielki człowiek w milczeniu, lecz jak pokojówka —

*) Gazeta niemiecka, niezależny dziennik polityki narodowej. Pismo dla wykształconych Niemców wszelkich stanów, *bezwzględnie niemieckie przeciw wszelkiej obczyźnie*.

SPOTKANIE.

Biedny, niedołężny starzec idzie drogą. Plecy ma zgarbione, jak gdyby niósł wielki a niewidzialny ciężar. Oczy jego puste, przygasłe; życie z nich uciekło, chroniąc się do ostatnich kryjówek, gdzie drżąc ze strachu, wyczekuje śmierci...

A przecież wiosna wokoło. Świeża zieloność przystroiła ziemię, w powietrzu igrają promienie słońca i rozlega się trzepotanie skowronków, wzdłuż drogi goni się, przelatując z kwiatu na kwiat, para motyli...

Wiosna lituje się nad biednym, ułomnym starcem. Przesyła mu pozdrowienie; wesołe chłopię, skacząc, przebiega przez pole i towarzyszy mu...

Poufale bierze dłoń jego i biegnie obok. Zaczyna szczebiotać dziecinnym szczebiotem! Opowiada o swych rodzicach i rodzeństwie, o swych zabawach, nauce; na Wielkanoc dostał się do szkoły, i oto umie całe abecadło na pamięć!..

Chłodno i obojętnie kroczy starzec naprzód. Spowity w zrzędne samolubstwo starości, nie słucha prawie słów swego małego towarzysza. Ten świat jest mu tak dalekim, droga doń jest tak długą dla jego nóg zmęczonych...

— „Czy ty mnie nie znasz?—pyta chłopię nagle i bojaźliwie śledzi wzrokiem starca — czy ty mnie nie znasz?"

Starzec zwraca swe przygasłe oczy na chłopca, spogląda nań przez długą, smutną chwilę — i smutnie przecząco wstrząsa głową.

Chłopię zostaje na drodze i cicho szlochając, patrzy na starca, który powoli i znowu samotnie dalej kroczy drogą...

Biedny starcze! Wszak to wiosna przysłała ci twą młodość — a tyś jej nie poznał...

DWIE SIOSTRY.

Prawda i kłamstwo leżały obok siebie w kołysce; na świat przyszły jako siostry.

Był czas, kiedy i kłamstwo było młodem i niewinnem dziecięciem — prawdą było. Lecz znalazło ono drogę do ludzi i zaczęło się umizgać o uznanie tłumów—wtedy zginęła jego dziecięca niewinność i prawdomówność!

W krótkim czasie kłamstwo stało się wielką damą. Nauczyło się stroić i piękne słówka prawić. Lecz pozostało ubogiem i dla zaspokojenia potrzeb swego pełnego blasku życia, uciekło się do hańby, do grzechu. Upadło i stało się kupną dziewką boskiej myśli—stało się kłamstwem!...

We wspaniałym powozie jedzie ulicą. U boku jego zasiadł pan jakiś ze wstążeczką w dziurce tużurka. Pogardliwie spogląda na tłumy, kłaniające się z szacunkiem. A błoto odskakujące z kół powozu obryzguje biednie ubrane dziewczę, które trwożliwie posuwa się wzdłuż szeregu domów.

Wielka pani zadrżała — czyżby poznała siostrę?..

S I E S T A.

Niema chyba milszego zajęcia nad próżnowanie!..

Naprzykład po dobrym obiedzie, w przyjemnem poczuciu swej wartości i swego żołądka, ułożyć się w wygodnym rogu sofy, zapatrzeć się w niebieski obłok dymu cygara hawańskiego i z leniwą powolnością przejść w stan poobiedniej drzemki dla ułatwienia trawienia—ach, jakież to cudne chwile idealnego prawie próżniactwa.

Gdyby mi wolno było wyrazić jakie życzenie, prosiłbym o możność uśnięcia kiedyś w takiej próżniaczej poobiedniej chwili snem wiecznym!.. Mając tedy wielką uciążę życia poza sobą, syt, syt aż do znudzenia, ułożyłbym się jak zwykle po obiedzie w rogu mojej sofy. Obłoczki dymu cygara wydobywałyby się z ust moich jak cienie z Hadesu, powoli przymknęłyby się moje oczy, i stopniowo, powoli, nieświadomie przeszedłbym w stan drzemki poobiedniej, w stan drzemki poobiedniej śmiertelnej!..

Ale zastrzegam się przed zmartwych-

z brzękiem talerzy. I nie zrozumiano długo, że ten „brzęk talerzy" staje się dla nas twardym wyrokiem zagłady, programem, któremu miliony biją korne pokłony, śpiewem odurzającym, który porywa, entuzyazmuje i w żar rozpala najniższe instynkty ludu pruskiego. Rozpoczęły się wędrówki tłumów do Warcina, letniej siedziby Bismarcka. Ze wszystkich zakątków kraju szły rzesze spragnione słowa proroka do niemieckiej Mekki, szły z kadzidłem, modlitwą i darami, pod przewodnictwem junkrów i mieszczańskich gerontów. A on stawał na loggiach zamku swojego i błogosławił im w imię dawnego „ausrotten," niekiedy mieszał się z ludem i uściskiem ręki rozpalał go w wulkan nienawiści rasowej, niekiedy pieścił go ideą jakiegoś potężnego cezaryzmu Niemiec, co stworzy nowe imperyum globu ziemskiego, a potem gościł u siebie arcykapłanów pielgrzymek i rozwijał przed nimi praktyczny program pomysłów swoich, mających zwrócić strumienie polityki pruskiej w stare bismarkowskie koryto. Tak powstał związek agrarny z piętnem opozycyi na czele przeciw ekonomicznym reformom kanclerza Capriviego — tak powstał związek *hakatystów* jako bicz germański na słowiańskie kresy monarchii pruskiej.

Hakatyści! Etymologia tego wyrazu jest bardzo prosta. Złożył on się z trzech liter firmowych, z trzech inicyałów tych nazwisk, które z woli starca warcińskiego stanęły na czele organizacyi związkowej. *H*anseman, *K*enneman, *T*iedeman, oto pierwsi pionierzy zmartwychwstałej myśli bismarkowskiej, pierwsi apostołowie niemiłosiernej ewangelii zniszczenia, naczelni kierownicy wielkiej armii gadzinowej, która wciska się we wszystkie zakątki dzielnic kresowych. Ruch poszedł jak burza i odtąd, gdziekolwiek życie polskie na pień prowadzono, mogłeś być pewien, że na pniu błyszczą trzy czarne litery: *H. K. T.* Hakatyzm? To dziwne nazwisko. Hekate była bóstwem śmierci...

Chcąc podać wierny obraz potężnej organizacyi, zgóry zastrzegam, że urzędowy jej organ, *Die Ostmark*, jest zaledwie słabem odbiciem rozgałęzionych działań i agitacyi, sięgających nieraz do najwyższych szczytów rządowych i posiadających na wzór starych Carbonarów lub nowoczesnej Maffii mnóstwo tajnych krużganków, sprężyn i celów, które tylko od czasu do czasu dzięki niezręczności agentów przenikają do wiadomości publicznej. Faktem np. pozostaje niezbitym, że gdy przed dwoma laty mniej więcej jeden z ministrów niemieckich zobowiązał się w tajnym układzie wobec posła Jażdżewskiego, wygłosić z trybuny parlamentarnej słowo krytyki ujemnej o rozgoryczających i zaburzających spokój domowy manipulacyach związku, już następnego dnia zarząd związkowy był najdokładniej poinformowany o zawartej umowie i poruszywszy ukryty a bardzo skuteczny mechanizm polityczny, nietylko zdusił obietnicę ministeryalną, lecz wymógł na rządzie, że z tej samej trybuny, z której paść miało słowo potępienia, popłynęło słowo błogosławieństwa. To „placet" rządowe było legitymacyą Hakatyzmu wobec społeczeństwa pruskiego, było listem żelaznym, torującym mu drogę do biurokracyi niemieckiej, wahającej się zrazu i niepewnej.

Zdarza się nieraz, że najzdolniejszy i najsumienniejszy urzędnik-Niemiec otrzymuje nagle tranzlokacyę do zachodnich prowincyj państwa, że przełożeni zasypują go gradem szykan bezustannych, a ludzie dziwią się nad pozornie bezprzyczynową zmianą sytuacyi. Potem ktoś szepnie zcicha: H. K. T. i odrazu blask przeraźliwy rozjaśnia zagadkę. W biurach Hakatyzmu znalazły się denuncyacye tajnych agentów, rozsianych po wszystkich miastach i miasteczkach prowincyj polskich, a w denuncyacyach tych powiedziano, że burmistrz X., sędzia Y. lub kasyer Z. od działań związkowych trzyma się zdaleka, że cygara swoje kupuje w handlu Polaka, że szklankę herbaty wypił w polskim domu itp. Idą listy do Berlina, słychać szepty w kancelaryach regencyjnych, stracony ten, na kogo rzucą kamieniem sykofanci Hakatyzmu. Drży przed nimi biurokracya niemiecka, a kto dojść pragnie do zaszczytów i znaczenia, ten trzy litery przybija na drzwiach swego domu. Jak wysoko sięgają wpływy tej organizacyi, za dowód niechaj posłuży i to, że naczelny prezes prowincyi poznańskiej, baron Willamowitz-Möllendorf albo już padł, albo padnie niezawodnie wkrótce ofiarą jej knowań. Willamowitz nie odznaczał się nigdy sympatyami dla ludności polskiej, przeciwnie, nosił on w duszy głęboką pogardę dla „żebraków komisyi kolonizacyjnej," jak w poufnych gawędach wyrażać się lubił, i nieraz kładł veto żelazne na rozwoju życia polskiego, ale jest to zwolennik germanizacyi powolnej, unikającej brutalnego barbarzyństwa i obracającej się ściśle w granicach konstytucyjnych. Wystarczyło to zupełnie, aby ściągnąć na niego gromy Hakatyzmu. Regencya poznańska, podlegająca wraz z prezesem swoim, p. Jagowem, niewolniczo dyktaturze trzech liter, rozpoczęła walkę przeciw Willamowitzowi, a walka ta w ostatnich czasach tak się zaostrzyła i dzięki wpływom Hakatyzmu w biurach ministeryalnych, tak dotkliwie dała się we znaki p. Willamowitzowi, że dymisya jego jest prawdopodobnie tylko kwestyą czasu.

Dokładnej charakterystyki wszystkich kółek tej olbrzymiej machiny, która ludność tubylczą na kresach słowiańskich ma albo wyglodzić i na cztery wiatry rozpędzić, albo na patentowanych Prusaków przetopić, niepodobna ująć w ramy jednego artykułu, bo praca jej jest zanadto różnorodna, za wielu żywotnych interesów społeczeństwa polskiego się czepia i na podstawie tysięcznych transmisyj przelatuje z jednych krańców prowincyi na drugie, ogarniając coraz to nowe dziedziny życia, zawsze zastosowana do warunków miejscowych, często nieznaczna w swych skutkach pozornych, a doniosła w ostatecznych rezultatach. Ogólnikowo zatem tylko przedstawię główne typy taranów, wprawionych w ruch dla rozbicia muru słowiańskiego, opierającego się tak długo falom germanizmu.

Zdaniem stowarzyszenia Hakatystów, ziemia nie dość szybko wysuwa się z rąk społeczeństwa polskiego i machina komisyi kolonizacyjnej, przerabiająca majątki polskie na patentowane działki niemieckie, zbyt powolnie pracuje. Postanowiono zatem przyjść w pomoc instytucyi bismarkowskiej i z milionowych funduszów Hakatyzmu założyć bank — imię jego Landbank — służący tym samym celom, do których dąży kolonizacya rządowa. Bank ten, mimo krótkiego swego istnienia, już energiczną rozwinął działalność, a chociaż krępują go te same trudności, które tamowały dotychczas rozwój komisyi kolonizacyjnej, chociaż parcelacya ma ślimacze ruchy, bo chłop niemiecki nie ufa kuszącym głosom na dalekim wschodzie, to jednak już kilka majątków rozległych prze-

---

wstaniem! Chcę wiecznie spać! Wieczność nie jest zbyt długą dla strawienia życia ludzkiego!..

WENUS Z MILO.

I.

Mała salka, w której spoczywa na tronie, jest na pół ciemną. W głębi wisi ciemno-pąsowa, aksamitna portyera, z której fałd cudnie żywo wyłania się biały marmur.

Siedzisz na małej ławeczce po prawej stronie posągu. Głowę oparłeś o ścianę i zagłębiasz się w podziwianiu główki Wenus!

Z jakże czystej wysokości uśmiecha się ona ku tobie!..

W około ciebie cicho, zupełnie cicho — świat ze swym hałasem i samolubstwem uciekł — daleko, daleko.

Doznajesz uczucia, jak gdyby dawny człowiek zanikał w tobie, a z gruzów jego powstawał nowy, o czystych uczuciach i myślach.

Zapominasz o sobie, o swych małostkowych zabiegach i zrodzonych z pyłu troskach — cały ciężar życia codziennego ginie poza tobą..

I czujesz się tak lekkim, tak swobodnym, wyrastają ci skrzydła, niebo wiecznego światła otwiera się przed tobą i ulatujesz w górę...

II.

Tak, przyjacielu, ta piękna kobieta zna wszystkich swych czcicieli; widziała ich wszystkich swem duchowem okiem.

Ani jedno serce, bijące na tej ziemi dla piękności kobiecej nie może się ukryć przed nią; ono należy do niej, jest jej własnością. Ach, ta mała, delikatna głowa musi posiadać dobrą pamięć, aby nie zapomnieć tysięcy swych zwycięstw!

A każde zwycięstwo czyni piękność jej dumniejszą, bardziej rozkazującą, potężniejszą..

Piękność kobieca na równi z siłą męską potrzebuje powodzenia, aby się wzmocnić, aby wywalczyć tę wielką, spokojną pewność siebie, która jest może ostatniem jej święceniem...

W tem spoczywa tajemnica wiecznej piękności Wenus z Milo; ponieważ zwycięstwa jej się nie kończą, więc i piękność jej nie skończy się nigdy!..

III.

Milczysz, Wenus z Milo!

Twe marmurowe usteczka uśmiechają się, lecz nie mówią; twe myśli i uczucia pozostają wiecznie niewypowiedzianemi.

I to jest właśnie dobrem, piękna pani! Gdybyś otworzyła usta — rzekłabyś może głupstwo i czar prysnąłby!..

Jesteś mądrą, Wenus z Milo; ty wiesz, że milczenie jest mową piękności!..

STARA FILIŻANKA.

Moja matka ma starą filiżankę; bardzo już ona zniszczona i posiada wiele rys.

„Popękane naczynia trwają najdłużej" — mawia często matka i w duszy złorzeczy nieraz starej filiżance, chciałaby mieć nową na jej miejsce!..

Ale stara filiżanka nie tłucze się. Jest widocznie zahartowaną, doznane nieszczęście jest zapewne przyczyną tego. Jakkolwiek niedelikatnie się z nią obchodzi, ona wytrzymuje wszystko...

Co najwyżej przyłącza się do starych rys nowa.

* * *

Biedne serce ludzkie! — I ty bywasz starem i pękniętem — wielkie rysy cię znaczą, lecz nie łamiesz się. „Popękane naczynia trwają najdłużej!.."

A jednak jakże często w chwilach rozpaczy życzymy sobie, żebyś pękło jak szkło i dało nam w końcu spokój i zapomnienie..

Ty się nie tłuczesz — nie, przybywa tylko do starych nowa rysa!..

szło w ręce Landbanku, a przypływ włościan brandenburskich, saskich i heskich zaczyna rosnąć dzięki sprytnym agentom żydowskim. Z drugiej strony wytęża Hakatyzm wszystkie wpływy swoje, aby paraliżować działalność „Banku ziemskiego," opierającego osadnictwo swoje na prawodawstwie rentowem i zależnego tem samem od władz pruskich, które nie szczędzą mu szykan dotkliwych przepisami o szkole, kościele itp.

Drugim typem operacyi hakatystycznych jest walka z handlem i przemysłem polskim. Na całej przestrzeni prowincyj wschodnich wzrasta legion sklepów i warsztatów wspomaganych z kasy Hakatyzmu, a przynajmniej popieranych reklamą potężnego związku. Gdziekolwiek taki handel zaborczy powstaje, brzmi w okół bęben szalonej agitacyi, posiadającej zwykle cechy teroryzmu. Bojkotuje się kupców i przemysłowców polskich, a kto bojkotowi temu nie schlebia, sam mu ulega. Energiczne okólniki krążą w tysiącach egzemplarzy po wsiach i miastach, odbywają się narady obywateli wiejskich i mieszczan, zapadają uchwały solidarnego współdziałania, a uchwały te mają zwykle formę zobowiązań honorowych. Jest w Nakle np. polski handel żelaza i towarów kolonialnych. Właściciel dzięki niezwykłej obrotności swojej i uczciwości kupieckiej dorobił się znacznego majątku, a całe okoliczne obywatelstwo niemieckie zaszczycało go zaufaniem i przyjaźnią osobistą. Zdawało się, że firma ta zbudowaną jest na niewzruszonych podstawach, lecz oto powstał Hakatyzm i kupiec polski jest bliskim ruiny. W przeciągu lat 4 stracił całą klientelę niemiecką na wsi i w mieście, a ponieważ miasto i okolica uległy już dawniej silnej germanizacyi, więc pozostała mu zaledwie garstka odbiorców polskich. Dawni przyjaciele omijają sklep jego jak siedlisko dżumy, a tylko w cieniach nocy, gdy nikt nie widzi, rękę mu ściskają i mówią: „Nie gniewaj się. My nie możemy cię popierać. Wyklętoby nas itd."

Na tem jednak nie koniec handlowych działań Hakatyzmu. Konkurencya jego w arsenale swoim posiada broń kłamstwa i oszczerstwa, tą wojuje, tą polski kredyt zabija. Jak wiadomo, utrzymują wielkie firmy niemieckie niemal w każdem miasteczku prowincyonalnem swoich mężów zaufania, dostarczających im informacyj o stanie majątkowym kupców, zakładających nowe sklepy i żądających znaczniejszego kredytu. Tych referentów handlowych opanowała liga Hakatystów i chyba tłómaczyć nie potrzeba jak wyglądają informacye przesyłane fabrykantom i hurtownikom, ilekroć polski handel lub warsztat jest przedmiotem krytycznej oceny.

Do powyższej kategoryi napastniczych działań Hakatyzmu należy także zacięta walka z polskimi przedstawicielami zawodów naukowych, lekarzami, adwokatami, architektami itp. Metodę bojową, protegowaną przez rząd i władze, uwydatni najplastyczniej przykład, powtarzający się niemal codziennie, a zaczerpnięty ze stosunków panujących obecnie w zawodzie lekarskim. Wobec rozwoju szpitali i kas sanitarnych (Krankenkasse) w Prusiech rozpoczęła się zacięta walka konkurencyjna o zdobycie posad w instytucyach tak gęsto rozsianych po całym kraju, a dostarczających poważnego i stałego dochodu lekarzom ordynującym. W tych kasach i szpitalach rozpoczął Hakatyzm swoje królowanie. Opanował zarządy, opanował władze i z błyskawiczną szybkością dusić zaczyna konkurencyę polską. I nie dość na tem. Niech tylko młody lekarz niemiecki zdecyduje się w polskich prowincyach odgrywać rolę „Kulturträgera" i zapuka do kasy Hakatyzmu, wnet subwencye popłyną obficie, budując mu wygodne warunki życia, które lekarz polski zdobyć może jedynie po długich latach ciężkiej i mozolnej pracy, a często nie zdobywa ich nigdy. Zdarza się nieraz, że Niemiec w pierwszym roku praktyki lekarskiej posiada dzięki wpływom i zapomogom Hakatyzmu 3,000 marek stałego dochodu, a oparty na takim funduszu leczyć może po za kasami i szpitalami za bezcen prywatnych pacyentów i tem samem zmusza konkurencyę polską do opuszczenia areny lub do marnej w wiecznych kłopotach finansowych obracającej się wegetacyi. Jest np. pod Poznaniem przedmieście św. Łazarza, zamieszkane przez liczną, lecz ubogą ludność. W gminie tej osiadł przed kilku laty młody lekarz-Polak i niemogąc żadną miarą wypracować sobie z biednych pacyentów niezbędnych dochodów, pukał bezustannie do władz magistrackich o skromną subwencyę. Napróżno! Wreszcie zniechęcony, mimo błagań przywiązanego doń ludu, opuścił teren swej pracy. Natychmiast pojawiły się w czasopismach hakatystycznych anonse o wakującej posadzie, zapewniającej „sute subwencye." Po tygodniu już nadjechał z głębi Niemiec jakiś eksbursz niemiecki z śladami cięć rapirowych na twarzy i zajął na przedmieściu miejsce opróżnione. Po dwóch tygodniach magistrat sam z własnej inicyatywy udzielił mu 600 mr. rocznej zapomogi, a kasa Hakatystów dorzuciła więcej, niż drugie tyle. Oto typowy przykład walki konkurencyjnej. Nadmienić wreszcie wypada, że biuro Hakatyzmu rozesłało w ubiegłym roku dokładny spis wszelkich firm polskich, noszących niemieckie nazwiska, aby ostrzedz „patryotów pruskich" przed Polakami, skrytymi za szyldem germańskim. (D. n.)

W. R.

BADANIA NAUKOWE.

WĘDRÓWKA IDEI.

I.

Kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się nad rodowodem idei. Chodziło tam o poznanie, skąd umysł ludzki czerpie treść do dążeń i pragnień dziejowych. Badaliśmy pochodzenie ich w związku z warunkami otoczenia, wśród którego ukazywały się one po raz pierwszy. Staraliśmy się tam wykazać, że w dynamice rozwoju społecznego idea jest zjawiskiem wtórnem, pochodnem, tj. występuje jako słowne sformułowanie nowych potrzeb, które zwolna powstały w łonie społeczeństwa w sposób mechaniczny a żywiołowy pod działaniem świadomości, zwróconej w kierunku tylko interesów czysto osobistych i pozbawionej wszelkiej myśli o tem, jakie stosunki ukażą się z biegiem czasu skutkiem nagromadzenia nieznacznych zmian w dziedzinie warunków rzeczowych. Przedstawiliśmy, jak pod wpływem takich pobudek natury prywatnej siły wytwórcze ulegają zwolna przekształceniu, jak zmiany ilościowe, zachodzące tam, zwolna stwarzają nowe jądro rzeczowe, jak w dalszym ciągu one rodzi nowe potrzeby i dążenia. Zwolna a żywiołowo powstaje w życiu pewne zadanie, gromadzące jednocześnie środki swego rozstrzygnięcia. Idea jest właśnie sformułowaniem takiego zadania i zarazem wskazaniem dróg dla jego rozwiązania.

Sprowadziliśmy więc ideę z wyżyn mglistej frazeologii socyologicznej, pomimo naukowo brzmiących wyrażeń będącej tylko pewną odmianą metafizyki, na grunt faktów, bo przyznaliśmy ją za wypowiedzenie w mowie członkowanej pewnych wymagań rzeczywistości. Ponieważ zastanawialiśmy się tylko nad jej rodowodami, przeto w analizie dotychczasowej nie wychylaliśmy się po za otoczenie, którego była płodem, i na uboczu pozostawiliśmy wszelkie zaciekania co do tego, w jaki sposób oddziaływa ona, skoro przedostanie się do innych okolic, w których stosunki rzeczowe nie odznaczają się jeszcze odpowiednim stopniem dojrzałości, ani też nie są dostatecznie wyraźne, ażeby można się było tam spodziewać samowolnego zjawienia się takich aspiracyj. Gdzie idea pewna zrodziła się i istnieje nie jako fantazya pojedyńczego zwichrzonego umysłu, ale jako hasło praktyczne warstw całych, tam zadanie, zwolna wytworzone przez życie, jest już o tyle posunięte, że może wyłonić myśl o najwłaściwszym sposobie rozwiązania. Natomiast w innym kraju zaledwie może powstają dopiero pierwiastki tego jądra stosunków rzeczowych, które gdzieindziej wyłoniło już nową ideę, jako sformułowanie świadome swoich potrzeb. Idea jednak przedostaje się tam i zaczyna oddziaływać na umysły. Przynosi ona z sobą cudze doświadczenie dziejowe i naturalnie nie może nie wywrzeć wpływów, zwłaszcza jeśli doczekała się gdzieś całkowitego już lub częściowego urzeczywistnienia i dowiodła dobitnie praktyczności swojej lub jeśli przenika do kraju, w którym stosowne pierwiastki rzeczowe już doszły pewnego napięcia i tylko zbywa tam na świadomem ich wypowiedzeniu.

Z dziejów Europy średniowiecznej można przytoczyć przykład takiego olbrzymiego wpływu, jaki wywarła pewna idea, zrodzona w innej epoce. Jest to okres odnalezienia pomników prawa cywilnego rzymskiego i rozpowszechnienia zawartych w nich pojęć.

Burgi i miasta średniowieczne rozwinęły się zpośród ustawy, właściwej marce. Cały szereg zwyczajów, ograniczających swobodę indywidualną w imię interesu ogółu, reprezentowanego przez sąsiadów, ciężył nad mieszkańcami i ściśniał ich prawa rozporządzania własnością. Gruntów nie wolno było sprzedawać bez pozwolenia członków rodziny; nawet sprzedaż produktów własnej pracy napotykała przeszkody. Kołodziej, garncarz i inni rzemieślnicy nie mogli wywozić wytworzonych przedmiotów po za obręb wioski, nie przekonawszy się uprzednio, iż nikt z mieszkańców nie ma zamiaru nabyć ich towaru. Nawet po dokonanej już sprzedaży każdy członek gminy mógł jeszcze dognać nabywcę i zwróciwszy uiszczoną cenę, przedmiot odebrać — o ile ów ktoś nie wyjechał po za miedzę gruntów wioskowych. Własność ruchoma była bardzo nieznaczna i obejmowała sprzęty domowe, ubiór i ozdoby. Spadkiem rządził zwyczaj, który określał rozmiary działów. Obok majątku mężczyzn — dziadowizny, dziedzictwa — istniała zgoła odrębna własność żeńska, babizna zaś, takie mienie każdej płci składało się z całkiem odmiennych przedmiotów. Dziewczęta były wykluczone od udziału w spadku po ojcu, jak chłopcy od otrzymania części majątku kobiecego.

Słowem, atmosfera prawna, właściwa ludom germańskim, była odmienna od tej, jaka otacza nas od dzieciństwa. Dopiero z rozwojem burgów i ukazaniem się stałej wymiany i targów naprzód wewnątrz ich murów, później zaś pomiędzy miastami, oraz z idącem równolegle rozpowszechnianiem się prawa „kupieckiego," nastają stosunki i normy, będące zarodkiem naszych dzisiejszych instytucyj prawnych. Grunta w miastach, tem bardziej zaś towary zaczynają wyłamywać się z pod dawnych ograniczeń. Ukazuje się wolność osobista, różna od arystokratycznej, sta-

nowiącej rys zasadniczy gminowładztwa rodowego. Ze zjawieniem się majątku ruchomego i wzrostem jego w stosunku do nieruchomego, oraz przybraniem formy pieniężnej, wola umierającego, nie zaś zwyczaj, zaczynają rządzić spadkiem: dziewczęta są przypuszczone do równych działów z synami, ukazuje się wspólność majątkowa małżonków zamiast starodawnej odrębności. Zwolna, w ciągu wieków, powstaje atmosfera nowych pojęć i poglądów prawnych, będących dziełem rozwoju handlu. Z dnia na dzień, pod działaniem nowych stosunków rzeczowych, przekonywano się tam o nieodpowiedniości dawnych zwyczajów a nastających potrzeb i szukano wyjścia z tych pęt przeszłości. Miasta formułowały powstające potrzeby prawne i usiłowały otrzymać dla nowych zwyczajów sankcyę władzy najwyższej, tj. starały się o potwierdzenie nowych modeł postępowania u panów feodalnych. Już w w. XII i XIII nadania książęce zaczynają otaczać opieką swoją zjawiające się zarodki nowego prawa. Przywileje dotyczą najrozmaitszych stron życia: udzielają one mieszczanom nieograniczoną swobodę kupna i sprzedaży, tj. prawo użycia i nadużycia własności, przyznają im wolność rozporządzania przed śmiercią majątkiem i robienia testamentów. Naturalnie, dochodzi do zatargów pomiędzy tradycyą a wymaganiami nowych sił wytwórczych. Powstaje z początku nieokrzesana i niezręczna, później zaś coraz subtelniejsza kazuistyka co do różnicy pomiędzy mieniem ruchomem a nieruchomem, zapracowanem a odziedziczonem, lub co do zwyczajów wyznaczania opiekunów, przypuszczania kobiet do spadku. Doskonali się zwolna prawo osobowe i nowe rodzinne, rzeczowe i spadkowe. Miasta torują drogę nowym potrzebom i w dalszym ciągu nowym pojęciom i normom prawnym, oraz poszukują odpowiedniego dla nich sformułowania. Pośród nowych instytucyj odbywa się ociężale. Uczucia moralne, wyhodowane w otoczeniu zwyczaju germańskiego, buntują się przeciw ulegalizowaniu lichwy, ograniczeniu praw rodu lub sąsiedztwa, rozkiełznaniu pobudek czysto osobistych. Odkrycie pomników prawa rzymskiego (rozpowszechnia się ono w Niemczech w w. XV i XVI) znakomicie ułatwia nastanie nowych porządków. Będąc wytworem gospodarstwa wymiennego, w sposób jasny, zwięzły a jędrny wypowiedziały one i opracowały właśnie te normy, ku którym parło życie grodów średniowiecznych, żywiołowo po przez pasmo doświadczeń odruchowych, rozstrzelonych. Co trzeba byłoby formułować krok za krokiem, poprawiać i przeinaczać, tam wszystko to już wyłożono i usystematyzowano. Miasta dostały w upominku kodeks jako rzecz gotową, co odrazu uwolniło pokolenia ówczesne od wyszukiwania rozwiązań dla kolejno powstających zadań drogą pojedynczych i niezależnych wysiłków i od uzyskiwania potrzebnej sankcyi dla każdego takiego rozwiązania. Rozwój przepisów prawnych ma teraz przed sobą wytkniętą ścieżynę. Kodeks ów, posiadający po swojej stronie zmurszałą powagę wieków i urok wielkości Rzymu, przyczynia się do rychlejszego oczyszczenia widowni historycznej od przeszkód, bo tradycyi germańskiej przeciwstawia on inną, jeszcze starożytniejszą. Rozpowszechnia się więc popierany przez odpowiednie grupy i sięga nietylko tam, gdzie dojrzało już stosunki parły do wyłonienia norm podobnych, ale nawet wywiera wpływ na dalsze dziedziny życia. Narzekania zachowawców niemieckich, że prawo rzymskie zgniotło zwyczaje germańskie powszechnie, nie są pozbawione słuszności. Doświadczenie ubiegłych wieków, zorganizowane w kodeksie i sformułowane, służy za potężną dźwignię dziejową i niszcząc normy tradycyjne, odrazu otwiera swobodną drogę dla rozwoju nowożytnych instytucyj prawnych. Usuwa zaś ono nietylko przeszkody współczesne, ale i przyszłe, innemi słowy, przyspiesza nastanie nowych stosunków rzeczowych i nowych potrzeb. Bez pomników prawa rzymskiego rozwój Europy może opóźniłby się o kilka stuleci, opóźniwszy się zaś, może potoczyłby się inaczej.

Kodeks cywilny rzymski był urzeczywistnieniem pewnej idei, która w swoim czasie zjawiła się jako sformułowanie żywiołowo dojrzewających wymagań życia codziennego. Lecz przeniesiona w czasy średniowieczne i oderwana od gruntu, z którego wyrosła, idea ta w rozwoju dziejowym występuje w innym charakterze. W miejscu swoich narodzin powstała ona z faktów, i tylko z faktów, tj. była jedynie odbiciem potrzeb życia, wypowiedzeniem jego dążeń, rozwiązaniem zadań, które żywiołowo ukazały się. Była ona tam w dynamice rozwoju zjawiskiem wtórnem. Ale po wiekowem milczeniu odgrzebana, występuje jako czynnik samodzielny, pierwotny, który swojem ukazaniem poprzedza fakty życia, przynajmniej niektóre, i przyśpiesza ich nastanie. Tak samo działa wszelka inna idea. Naturalnie nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby stwarzała ona coś z niczego, ale tylko, że przyczynia się do pośpieszniejszego uświadomienia tego, co jest jeszcze nieuświadomionem, choć już istnieją podatne pierwiastki, że nierozwiniętym i niezorganizowanym żywiołom wskazuje drogę postępowania, że wreszcie w ten lub inny sposób przeinacza bieg dziejów, który bez jej wdania się może przybrałby inny kierunek. Taka wędrowna idea, co przybyła z krajów bardziej posuniętych, np. uwłaszczenia, emancypacyj kobiet, ustawodawstwa fabrycznego, może silnie zaważyć na losach społeczeństwa, które nawiedziła. Jako czynnik zgoła samodzielny, wżera się ona tam w poczet działających sprężyn.

Idea może przedostać się do pewnego kraju nieraz wtedy, gdy odpowiednie pierwiastki życiowe są w nim jeszcze bardzo mało rozwinięte. Powołuje tam wówczas ruchy, ciekawe pod względem społecznym. Prądy pewne, gdzieindziej będące wytworem faktów, tj. potrzeb szeroko rozpowszechnionych, pociągają tam przedewszystkiem ku sobie głodomorów nerwowych, którzy chciwie połykają „nowinki,“ nadchodzące zdaleka, i połknąwszy je pośpiesznie, tak szybko rozstają się z niemi. Nie konieczność społeczna działa, nie zadanie pewne domaga się rozwiązania, ale tylko instynkt duchowy— spożywanie czegoś denerwującego. Ruch, który gdzieś jest prądem społecznym, zamienia się tam na objaw natury antropologicznej, ulega pewnemu wykoszlawieniu i nieraz zwyrodnieniu. Przynajmniej istnieją tam w nadmiarze pewne szczególne temperamenty, nadające mu osobliwy charakter. Zresztą nie chcę tego twierdzić o wszystkich. Wśród tłumu głodomorów nerwowych istnieje zawsze jądro stałe a zdrowe—ideologów. Są to umysły wrażliwe, które zapoznawszy się z pewnem hasłem, pozostają mu wierne, wówczas gdy inni, po nasyceniu łaknienia nerwowego, odpadają. Grupa ta ideologów stanowi poniekąd sztab generalny przyszłej armii społecznej, która powoli się tworzy pod jego wpływem w miarę dojrzewania odpowiednich stosunków rzeczowych lub uświadamiania już istniejących. Tam, gdzie idea powstała po raz pierwszy, taki sztab tworzy się zwolna z pośród odpowiedniej warstwy, przyczem wciąż jest świadom swego pochodzenia, odczuwa związek swoich dążeń z potrzebami życia rzeczywistego i wie o co walczy i z jakich powodów. Ideolodzy tymczasem krajów mało rozwiniętych, którzy przejęli się pewnem hasłem, czerpią siłę nie w poczuciu krzywd przez siebie doznanych, ale w instynktach swoich społecznych, skłonni są ideę, która zapłodniła ich umysł, uważać za produkt, bujający po świecie samowolnie, i patrzą z góry na czerstwe fakty życia, które w własnem ich otoczeniu niekiedy nielitościwie obdzierają ich z różnych złudzeń. Własne doświadczenie przenoszą oni na całą więź społeczną: jak sami stali się rzecznikami pewnego prądu na przekór interesom własnej warstwy, tak samo zrobić mogą i powinni ich zdaniem inni. Idea utraca dla nich charakter klasowy, przestaje być sformułowaniem namacalnych czyichś interesów i potrzeb, zostaje odarta z mięsa historycznego, lecz zamienia się na twór bezcielesny, na dzieło myśli krytycznej, wypowiedzenie zasad wiecznej bezwzględnej prawdy. Ideolog taki, pozbawiony gruntu pod nogami, od faktów lubi apelować do sprawiedliwości i etyki, od życia do ideałów, od rzeczywistości do utopii. Trwa to dopóty, póki życie nie wykluje odpowiednich pierwiastków rzeczowych, które zabiorą głos inaczej i dadzą ideologom robotę realną, pożyteczną zamiast snucia poetyckich rojeń i wywodów metafizycznych.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I WIEDZA

Naturalizm jest poglądem na świat tłumu, kwitnie w epokach demokratycznych — taki jest rezultat, do którego doszliśmy *). Ale naturalizm odznacza się inną jeszcze cechą: przewagą metody spostrzegawczej, możnaby powiedzieć „naukowej.“ I to jednak odbywa się nie trafem. Historya pokazuje nam, iż metoda spostrzegawcza, indukcyjna przeważa zwykle w epokach demokratycznych (np. okres Arystotelesa, Bacona, nasze czasy). Już to nam pokazuje, że różnica formalna, uznana przez logikę szkolną pomiędzy indukcyą a dedukcyą, ma głębokie podstawy antropologiczne i socyologiczne — i tu odnajdujemy walkę tłumu i jednostki. Każde społeczeństwo składa się z masy przedstawicieli niższego gatunku, śród których gdzieniegdzie przerywa się dążność do wytworzenia wyższego, w osobie geniuszów. Ci ostatni widzą odrazu, nieświadomie, dedukcyjnie w rzeczach to, co dla przedstawicieli niższego gatunku nie jest dostrzegalne: tak człowiek widzi w danym przedmiocie strony i własności, których małpa nie spostrzega. Tłum społeczny praw i właściwości w ten sposób wykrytych nie uznaje, dopóki one nie będą przezeń sprawdzone.

Geniusz zachowuje duszę całą, wszechstronną i widzi odrazu ukryty sens rzeczy. Tłum składa się z masy specyalistów, z których każdy ma tylko jedną jakąś stronę duszy dobrze zaostrzoną i którzy wszyscy razem dopiero składają mózg społeczny i duszę społeczną. Rozwój rozdziera tę ostatnią na mnóstwo kawałków, w każdym otrzymuje się tylko niejasny i cząstkowy wizerunek rzeczy; trzeba, aby ona powolnie i mozolnie odbiła się w mózgach całej masy spostrzegaczów specyalistów — na tem właśnie polega t. z. metoda indukcyjna! — aby oni powiązali te wizerunki częściowe w jedną całość i jeżeli ta całość, tak otrzymana, jest identyczna z tą, którą geniusz odrazu wypowie-

*) *Prawda*, nr. 3.

dział, hipoteza staje się prawdą naukową, uznaną przez społeczeństwo. Nauka, wymagając indukcyi i dedukcyi, łączy więc tylko w sposób harmonijny działalność tłumu i jednostki. A następstwo różnych metod w historyi wiedzy jest tylko skutkiem przewagi społecznej jednego z tych czynników! Walka pomiędzy jednostką a tłumem istnieje więc w nauce, jak i w literaturze, jak i na każdem innem polu życia.

Logika znajdowała się dotychczas w ręku filozofów abstrakcyjnych, którzy rozpatrywali indukcyę i dedukcyę jako „dwa sposoby postępowania ducha ludzkiego" i głęboko rozprawiali o tem, który z nich jest lepszy i prędzej do prawdy prowadzący, przyczem każda szkoła z zanikiem metody odwrotnej wychwalała swoją, jako jedynie zbawienną. Właściwie jednak mamy tu do czynienia tylko z wyrazami dwu czynników antropologicznych, walczących z sobą w rożnych momentach rozwoju społecznego, który sprzyja to jednemu to drugiemu. Tak w naszych czasach, w miarę wzrostu demokracyi indukcya coraz bardziej się wzmaga i zaczyna nawet rościć pretensye do znaczenia metody wyłącznie naukowej. Na hipotezę spoglądamy jako na rzecz zupełnie zbyteczną, a są nawet mędrkowie, którzy sądzą, iż geniusz w nauce stał się zupełnie niepotrzebny, iż spostrzeganie gromadne, dobrze uorganizowane w zupełności wystarczać będzie. Geniusz stanie się anachronizmem, czemś w rodzaju kamieni młyńskich, które niegdyś mogły być na swojem miejscu, ale teraz nadają się już tylko do muzeum archeologicznego.

Nie może być błędu fatalniejszego! Proszę mi wskazać jakąkolwiek akademię, któraby *in gremio* zrobiła jakieś odkrycie naukowe. Akademia służy tylko do sprawdzania i ogłaszania światu odkryć, uczynionych przez jednostki. I tak będzie zawsze. Chyba że przypuścimy, iż między teraźniejszością i przyszłością nastąpi jakiś przełom w psychologii ludzkiej i że te akademie i ciała zbiorowe nauki przyszłej będą czemś zupełnie innem, niż obecnie. Prawdopodobnie jednak ciała naukowe będą zawsze tem, czem były dotychczas: gromadą trutniów, strojących się w cudze piórka, pożyczających owoce cudzych trudów — dobrze jeszcze, jeżeli jednego z ich członków, którego zagryzają zawiścią. Zwykle oni jednostki genialnej do swego łona nawet nie wpuszczają, a w najlepszym razie zajęci są sprawdzeniem lub ogłoszeniem jej odkryć, zagarniając w ten sposób w oczach gapiów wszystkie niemal promienie jej sławy.

Przedstawmy sobie stary lamus olbrzymi, w którym od wieków zbierają się miliony rzeczy najrozmaitszych, pomieszanych w sposób najfantastyczniejszy, bez żadnego ładu. Chcąc tam cokolwiek odszukać, musimy naprzód mieć jakąś myśl przewodnią: inaczej obracać się będziemy śród tego labiryntu latami całemi bez skutku. W takiem właśnie położeniu znajduje się człowiek wobec przyrody: chcąc w niej cokolwiek zbadać, trzeba przystąpić z gotową, uprzednią hipotezą. Hipotezę, rozumie się, może każdy wypowiedzieć, mniej więcej na wiatr, ale tylko przypuszczenie geniusza, który nieświadomą działalnością mózgu spostrzega sens ukryty rzeczy, będzie słuszne. Na tem, właściwie mówiąc, zadanie geniusza się kończy, gdyż prawda niedowiedziona nie przestaje być prawdą: tak człowiek niewinnie podejrzewany o zbrodnię i skazany przez społeczeństwo dlatego, że nie mógł dostarczyć dowodów swej niewinności, nie przestaje być niewinnym, chociażby mu głowę odcięto. Ten przykład może posłużyć za ilustracyę tyranii, jaką tłum wywiera na jednostce w nauce. Cała metoda indukcyjna, ze zbieraniem materyałów, klasyfikowaniem, porównywaniem itd. była i będzie zawsze tylko środkiem sprawdzania myśli szczęśliwej, wypowiedzianej apriorystycznie przez jednostkę genialną. Bez istnienia takiej hipotezy uprzedniej samo zbieranie materyałów byłoby rzeczą absolutnie niemożliwą. Nauka wtęc — to swego rodzaju trybunał, gdzie geniusz jest podsądnym, a tłum — sędzią. Tłum powiada do geniusza: „Ty nas niepokoisz jakimiś waryackimi pomysłami. Nie wierzymy ci. Musimy sprawdzić twe twierdzenia, ale ponieważ (*tonem ironicznym*) my nie mamy głowy uorganizowanej tak, jak twoja, która odrazu chwyta ukryte znaczenie rzeczy, więc one muszą się odbić w głowach całego szeregu specyalistów, powoli spostrzegających i łączących wnioski częściowe w jeden wspólny. Jeżeli on zgadzać się będzie z twoim apriorystycznym, przyznamy twemu słuszność." Taka a nie inna jest wartość metody indukcyjnej. Jest ona sposobem sprawdzania i niczem więcej: dodajmy, iż ona nie miałaby żadnego sensu, wszystkie te powolne analizy i syntezy nie mogłyby się odbywać bez kierownictwa uprzedniej hipotezy. Dodajmy także, iż geniusz, wiedząc naprzód, jaki los go czeka, stara się często sam zebrać materyały, udowadniające jego myśl, aby w pełnem uzbrojeniu wystąpić przed tłum. Ale właściwie ta część pracy nie wchodzi wcale w zakres jego zadań. Przedstawmy sobie człowieka, który zachowując całą swą moc duchową, przybrał na czas pewien postać mrówki i wpadł do mrowiska: widzieć on będzie rzeczy, o których mrówkom się nie śniło; dla niego są one oczywiste, dla nich — nie; czy nie straci on czasu i sił nadaremnie, gdy zamiast postępować dalej, dobijać się będzie o to, aby stanąć na punkcie widzenia mrówek, wyobrazić sobie ich duszę i wynaleźć wszystkie dowody, zapomocą których prawda dla niego oczywista stałaby się i dla nich zrozumiałą? Naturalnie, dopóki społeczeństwo składa się z tłumu i jednostek, dopóki te ostatnie giną się pod tyranią tamtego, geniusz musi nietylko wypowiedzieć myśl apriorystycznie, ale i dowieść jej indukcyjnie. Nie oszukujmy się wszakże, ta część mrówcza jego pracy wywiera swe ślady zabójcze i na jego duszy, których nie spostrzegamy, gdyż dotychczas praca duchowa postępowała w sposób czysto żywiołowy i o hygienie psychologicznej jeszcze mowy być nie mogło.

Ale już dziś powiedzieć można śmiało, że podział pracy między geniuszem odkrywającym nowe prawdy i tłumem, który stara się je przetłómaczyć na język swej duszy, tj. „sprawdzić," zawsze istnieć będzie. Nauka, w całej swej części przygotowawczej i sprawdzającej, jest tylko wysiłkiem tłumu, żeby wspiąć się do geniusza, stanąć z nim na równym poziomie. Ale znieście geniusza—tłum nie będzie miał do kogo się wspinać. Nauka, metoda indukcyjna, spostrzeganie itd. utracą swój sens i racyę bytu. Wytępienie geniusza, do którego rozwój społeczny dąży z siłą nieubłaganą, doprowadzi do stanu mniej więcej następującego. Przy życiu pozostaną tylko typy zawodowe, najbardziej wyspecyalizowane, o świadomości coraz żywszej, którą rozpatrywać można jako stan chorobliwy, wytworzony przeszkodami, stawianemi przez społeczeństwo naturalnemu przejawowi popędów jednostki. Jest to zresztą tylko faza przejściowa bólu: tak nogi Chinki, zbeszkształcane systematycznie, jątrzą się przez pewien czas, ale naroszcie zostają zagojone w swem kalectwie. Dusza ludzka, hamowana w swych popędach, rozwijana jednostronnie, wytwarza ten stan świadomości i nerwowości, w którym obecnie żyjemy, ale z czasem wszystkie rany zabliźnione zostaną, typy nazbyt odskakujące od wymagań społecznych będą wytępione. Inne pogodzą się z losem i zastosują do warunków specyalizacyi. Świadomość znowu zamieni się na odruchy. I wówczas społeczeństwo ludzkie zamieni się na wielkie zapiaszczone mrowisko. Wolno przypuszczać, że mrowiska były także niegdyś pełne świadomości i bólu na poprzednich fazach ich ewolucyi społecznej i że teraz dopiero mrówki doszły do tego stopnia przystosowania i deformacyi, gdy ich działalność duchowa zamieniła się na szereg refleksów bezwiednych. Mrówka zbiera źdźbła mechanicznie, nie znając celu ostatecznego swej pracy. Tak samo ludzie uczeni zbierać będą z czasem fakty, spostrzeżenia, nie przewidując ostatecznego celu, do którego dążą — wprost do procesu zbierania.

Szczęściem, że obecnie jeszcze zjawiają się od czasu do czasu geniusze, które ożywiają te materyały myślą twórczą. Cóż jednak nastąpi, gdy geniusze ci będą wytępieni? Będzie to idealne państwo nauki chińskiej, ciał uczonych, muzeów społecznych, epoka, gdy mrówki ludzkie na gwałt, gromadami całemi zbierać będą materyały naprzód skazane na spleśnienie, z których żadnego użytku nikt wyciągnąć nie zdoła.

Widzimy więc, że geniusz i w nauce polega nie na szperaniu i wąchaniu bibuły drukowanej, lecz na *poezyi*, rozumiejąc te słowa w znaczeniu greckiej twórczości. Geniusz jest poetą w jakiejkolwiekbądź dziedzinie się przejawia i polega na wszechstronności, na intuicyi, na tym błysku, który z padającego jabłka wyprowadza prawa obrotu światów. Jest to czynnik *osobisty*, nowa dziedzina, którą on spostrzega, a której inni nie widzą. Tą właśnie stroną geniusz się różni od tłumu: inne, jak wiedza lub praca, mogą mu być przydatne, ale go nie stanowią. Tak samo rożne choroby często mu towarzyszą, ale go nie stanowią: geniuszowi towarzyszą często szał, obłęd, newroza, ale może on także cierpieć na podagrę, febrę lub ospę. Nie każdy neuropata jest geniuszem: ten ostatni jest prawdziwym przedstawicielem wyższego typu biologicznego i tylko pod wpływem ewolucyi społecznej, która dąży do jego wytępienia, wyradnieje. W końcu powiedzieć możemy, iż sprzeczność między poezyą i rzeczywistością, którą zauważyć można w życiu i sztuce, istnieje i w nauce — wszędzie jest ona tylko uzmysłowieniem sprzeczności między geniuszem i tłumem. Wszędzie rzeczywistość jest „halucynacyą" tłumu, wszędzie poezya jest „halucynacyą" jednostki, przedstawiającej wyższy typ biologiczny.

W naturalizmie odszukać możemy wszystkie cechy przewagi tłumu: przedstawia on drobne istoty i ich drobne zabiegi, trzymając się metody ściśle obserwacyjnej, prawie naukowej, z zupełnem pominięciem czynnika subjektywnego — czyli inaczej mówiąc, autor jest człowiekiem z tłumu i przedstawia nam jego wizyę świata. Ostatecznie i śród tego tłumu, w drobnych wypadkach jego życia mogą być dramaty. Ale można sobie przedstawić, iż wszystkie wyższe gatunki zwierząt i roślin wyginęły i na ziemi zostały tylko mchy brodate: i w ich życiu niewątpliwie zachodzą dramaty. Ale nie o to nam chodzi W sztuce dotychczas żyjemy z kapitału, które zostawiły nam epoki rozkładowe Grecyi, Renaissance'u, romantyki. (Proszę np, przypomnieć sobie, w jakich warunkach społecznych odbywał się rozkwit naszej literatury!). Otóż nie widzę, byśmy od tego czasu postępowali naprzód. I owszem ludzkość pod tym względem się cofa. W estetyce zapanował jakiś niższy gatunek zwierzęcy, wierzchołki coraz bardziej wytępione zostają. Literatura realistyczna i naturalistyczna, nawet w lepszych swych okazach, czyni

często wrażenie literatury dla mamek i strażaków — formą i treścią.

Dr L. W.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Turniej, dramat w 5 aktach z doby Odrodzenia, oryginalnie napisany przez St. Kozłowskiego.

Publiczność jest w niemałym kłopocie, gdy sobie zechce zdać sprawę z tego, co w *Turnieju* znalazła. Cztery przedstawienia przy szczelnie zapełnionej sali, ścisk o bilety, wspaniałe stroje, balet, powściągliwy, ale zawsze balet, Florencya, doba Odrodzenia, recenzye pochwalne, drukowane i ustne, ilustracye uświetniające wrażenia, przywoływanie i okrzyki radości, bankiet wreszcie wyprawiony autorowi — wszystko to działa jak narkotyk i z pod zmysłowej wrażliwości nie pozwala wybić się na wierzch świadomości umysłu w tej i owej jednostce z tłumu sytych i zadowolonych. Na świecie wogóle się nie myśli; żyje się bezwiednie w exosmozie i endosmozie wszelakiego rodzaju: moralnej, umysłowej, społecznej, czy przyrodzonej. Na pytanie: skąd i po co? życie najczęściej nie daje odpowiedzi, albo skłamaną lub lichą: jest, bo przyszło — i przychodzi też, przychodzi to szał, to oziębłość nieusprawiedliwiona. Coś się nagle podoba i coś się nagle niepodoba — i to podobanie się lub nie—staje się później źródłem rozumowych sądów. Jasnego wzroku jest mało bardzo na tym najlepszym ze światów. Nie wymagajmy go od publiczności, w której nawet jednostka indywidualnie silna stać się musi tylko ułamkiem jedności.

Gdy, poznawszy pięć aktów p. Kozłowskiego ze sceny, a trzy powtórnie jeszcze z druku, chcąc być tylko publicznością, zadałem sobie pytanie: co mi dał *Turniej?* — w odpowiedzi niewiele otrzymałem: wysłowienie wierszowane, z obrazowością poetyczną, ale nierozgrzewającą; kilka pięknych myśli; ludzi ruszających się, ale nie zaokrąglonych w sobie, nie zbitych w charaktery tak, aby z nich tryskać mogła istotna, dusze nurtująca dramatyczność; Florencyą Medyceuszów bez Medyceuszów; Andreę del Castagno z bajki dawno już rozwianej; jego żonę uciekającą z kochankiem, ale zaklinającą się na swą czystość; akt IV i V przeciągające ruch nad przyzwoitą miarę; sztukę wreszcie wadliwie zbudowaną—w stylu, raczej duszącym, niż rozwijającym psychikę, ten niewzruszony, jedyny poezyi dramatycznej żywioł. Co się tedy publiczności w dramacie p. Kozłowskiego podobać mogło? Świeżość bajki zarówno, jak świeżość i przepych kostiumów, łagodność namiętności w czasach tak odległych, z za złotej mgły jakiejś prześwitujących, sama mglistość postaci, pewna szlachetność wysłowienia — coś, co się z samego tematu tej sztuki wypromienia jako czyste i jasne, a występuje głównie w przeciwieństwie do sztuki francuskiej, zapowietrzającej dusze niepokojem, żądzą i sofizmatem.

Nie chcę być optymistą, nie chcę w nasunięte tu domniemanie obwijać twierdzenia, że publiczność znudziła się już Francuzami w teatrze, albo odwróciła od tłustej farsy, ukrywanej często w chudej dramatyczności, w kościstych nawet sztukach *a these*. Nie. Zdaje mi się tylko, że potrzebowała wytchnienia, i w samej już bajce *Turnieju* je znalazła! Objaw to, jak i sama potrzeba, chwilowy: z doby Odrodzenia powróci się do doby zwyrodnienia, do swojej własnej doby, i będzie się lepiej jeszcze bawiło tem, co ani czyste, ani jasne, ale jakoś inaczej, łatwiej i pełniej bawiące—a dla zabawy przecież tylko się żyje!

Takie wrażenie sprawił na mnie *Turniej* i jego powodzenie. Krytycznego rozbioru przeprowadzać nie będę; chciałbym tylko pomówić o bajce sztuki. Wziął ją p. Kozłowski z Vasarego, zmienił późniejszem podaniem i własną pomysłowością. Historycznym bohaterem bajki jest Andrea del Castagno. Wydziera on tajemnicę farb olejnych Dominikowi z Wenecyi, a chcąc się pozbyć współzawodnika, zabija go w zaułku florenckim kawałem ołowiu. W bajce *Turnieju* bohater mści się za uwiedzenie żony, a zabija przez podcięcie rusztowania—zabija i kochanka i żonę, żonę właśnie wtedy, gdy mu się zaklęła na swą czystość.

Całe to podanie, w tej lub owej postaci, jest już dziś, nietylko w dramacie p. Kozłowskiego — najdoskonalszą bajką, zmyśleniem. Już w r. 1872 Crowe i Cavalcasello wydrukowali dla wiadomości zajmujących się historyą sztuki we Włoszech, że Dominik umarł w 10 lat po śmierci Castagna (zm. 1457), nie mógł więc być przez niego zabitym. Odejmuje to bajce jej konieczną legitymacyę—naiwność. Mógł przecież poeta korzystać z niej po dawnemu, tylko potrzebował zerwać zupełnie z historycznością — na to zaś p. Kozłowski odważyć się nie chciał. Już sam przydomek bohatera „kat,“ przypomina rzeczywistego „Andreino degli Impiccati“ (Andrzejka od wisielców), a charakterystyka w tekście sztuki zupełnie już jego osobistość utożsamia. Lecz nawet zgadzając się już na historyczność niehistoryczną, jaką sobie urobił autor, niepodobna mu nie wytknąć słabej indywidualizacyi, pomimo to, że sama już bajka szczegółami o urodzeniu, sieroctwie, ciężkiej młodości, twardym losie i przedzieraniu się przez tłum, dawała myśli twórczej dostateczną podnietę i wystarczające tworzywo. Głębiej nas wzrusza Castagno Vasarego, niż p. Kozłowskiego, choć tamten tylko nam opowiada, a ten chce nas wzruszyć.

Dramatycznie nawet słaby pomysł delegowania żony i brata do wydarcia Dominikowi tajemnicy blasku w obrazach, przedstawi się jako zupełnie chybiony, gdy pomyślimy, że Florencya miała już wówczas własnych swych malarzy, używających pokostu i żywicy do farb i nie potrzebowała zdobywać tajemnicy aż morderstwem. Cały ten szczep sztuki, na którym autor wszystko osadził, sprawiłby wrażenie fałszu nawet wtedy, gdyby p. Kozłowski, dla siebie samego choćby tylko, ową dobę Odrodzenia przed r. 1457 umieścił. A sama ta doba jakże jest bałamutną! We Florencyi za Andrzeja i Dominika władali już Medyceusze. Cosimo, przypominający wraz z wnukiem swoim, Wawrzyńcem Wspaniałym, Peryklesa w Atenach, nie był nigdy *podestą*: miał tytuł *gonfaloniere*, ale i pod tym mało go znano, nazywając wprost „panem“ (*signore*). Podestą u p. Kozłowskiego najwyższowładcą, mógł być tylko prefekt policyi, rezydujący w Bargello, gdzie też znajdują się owe wyraziste, a banalnie „realistyczne,“ malowidła Castagna. Ani się spostrzegł autor, jak wprowadzając swego *podestę* na scenę, usadza na tronie samego Kuźmę Medyceusza.

Dobrą żoną Andrzeja, Paolą, była p. Lude, ale nie zupełnie dobrym jej mężem był p. Leszczyński: wziął rolę zbyt oschle w pierwszych trzech, lepszych, aktach i nie uwydatnił rysów jej uczuciowych. Krótką scenę napaści Dominika — przy której przemknął się przed autorem „Faust“ — p. Lüde oddała z artystyczną czystością deklamacyi i ruchów. Podobać się musiał p. Roland jako Marek, postać znowu, od której zalatuje trochę Zbigniewa. W Dominiku widziałem tylko p. Ładnowskiego jako zastępcę: przypuszczam, że może p. Nowicki gorzej chce, ale lepiej gra od p. Ładnowskiego, który dla głosu swego potrzebuje już znaleźć jakąś grupę ról od kochankowej stosowniejszą. Koturnową szlachetnością, jak zawsze, odznaczyła się p. Rakiewiczowa, Lorenza, matka Andrzeja; a wprost prześwinie — brawurą, do roli dobrze przypadającą, p. Barszczewska, jako Beppina — jedna z tych... o których się nie mówi.

Stanisław Krzemiński.

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Biada temu, kto w dobie skwarnej nie ma w sobie zdroju; próżno wtedy pustynię życia przejść się kusi. Nawet już blizki celu swojego—ledz musi.“ Te słowa nieboszczyka mimowoli przyszły mi na myśl w chwili gdy wspomnieniem niniejszem oddaję mu ostatnią smutną posługę. Nosił on w sobie nietylko zdrój talentu, ale i ten rzadki, który nawet w pustyni życia w najskwarniejszej dobie nie wysycha i nie mętnieje: zdrój czystego i prawego ducha. Waśniewski był tym wyjątkowym człowiekiem, który nie pożąda reklamy, nie zaskarbia łaski pani Prasy. Nosił on w sobie talent, nieoświetlany kagańcami reporteryi. Ażeby się jego doszukać, trzeba nietylko uważnie przeczytać „Bajki“ i „Zygzaki“ (nowele)—utwory, zgromadzone i utrwalone w książkach, ale i te pyłki złote, rozproszone i zagrzebane w piasku dziennikarskim: jego garść drobnych felietonów, luźne myśli, wreszcie opisy podróży, w których rysuje się także sylwetka duchowa autora. Nie szedł on utartym szlakiem turystów: do Paryża, Neapolu, Rzymu, Wenecyi itd. Ciągnęła go smutna północ skandynawska, ten kraj, gdzie jeszcze nie zapanowała sztuka życia świata „cywilizowanego,“ znieprawiająca dusze i umysły.

Obok pracy dziennikarskiej, twórczości nowelistycznej i poetyckiej, Waśniewski szczerze się oddawał nowemu językowi Esperanta, był gruntownym jego znawcą i gorliwym szerzycielem, tłómaczył na tę mowę międzynarodową wybitniejsze utwory naszej literatury, był współpracownikiem pisma, wychodzącego w Upsali p. t. *Lingua internatia*. Oprócz utworów, ogłoszonych w dwu zbiorkach, rozproszonych w dziennikach, tygodnikach i pismach humorystycznych (w tych pod pseudonimem Dudusia), pozostawił sporo prac w teee. Nie kwapił się z drukowaniem, bo należał do tych rzadkich autorów, którzy korzystają z chwil natchnienia i piszą nietylko wtedy, gdy zmusza ich do tego potrzeba zarobku.

Najulubieńszą jego formą twórczości były bajki i fraszki; dlaczego zaś je upodobał, mówią jego własne słowa, w tę formę wplecione:

. . Bajka widząc, jak się prawda jeży,
W śmiech, lecz po chwili te powiada słowa:
— Tyś wielka, ale któż dziś w twe idee wierzy,
Kto ciebie za parawan frazesów nie chowa?
Cóż z tego, że twa siła granity rozwierca,
Kiedy w serce nie możesz wejść śmiało niczyje, —
Jedna dziś tylko droga została do serca —
Droga śmiechu, pod którym bajka się ukryje!..
(„Prawda i Bajka“).

Idąc drogą śmiechu, ukrywał pod nim bajkę i płakał z płaczącymi, cierpiał z cierpiącymi. Łzy ludzkie bolały go, więc pragnąc z nich pożytku dla rzesz, każe je alchemikowi zamieniać na ciało stałe. Alchemik posiwiał nad tą robotą, a gdy już jest blizki tryumfu, filozof go oprowadza po tym padole płaczu i burzy jego tryumf, bo nie on pierwszy zamienił łzy ludzkie na ciało stałe:

„— Widzisz te pałac?—spytał filozof.
— Widzę.

— Widzisz te brylanty, perły, aksamity, szkarłaty?

— Widzę.

— I te miliony ludzi bezczynnych, dźwigających mózg pod czaszką z żelaza i ołowiane serca pod spiżowym pancerzem?

— Widzę.

— Teraz powróć do swej pracowni; łudź się pierwszeństwem swego wynalazku, baw się dalej marzeniem.

— Nie chcę.

— I przetapiaj łzy ludzkie w brylanty.

— Z czego i po co?

Tu starzec zwiesił smutnie głowę na piersi; westchnął głęboko i upadł. Podobno pękło mu serce."

I rzecz dziwna, Waśniewskiemu, nie starcowi, lecz człowiekowi w pełni sił młodości (liczył 38 lat) pękło także serce; może dlatego, że przędąc bajki, przetykane śmiechem, szedł za śladem przełkanych strumieni łzawych...

Z. P.

SPRAWY EKONOMICZNE

KOLEJ ROSYJSKO-CHIŃSKA.

Brzaskiem cywilizacyi i kultury na dalekim Wschodzie azyatyckim jest schyłek wieku niniejszego. Oba te czynniki wdzierały się tam oddawna i powoli, lecz nie miały charakteru wielkiej organizacyi, utrwalającej swoje ślady na szerokich przestrzeniach. Najdzielniejszy żywioł — przychodźcy, różnymi losami tam zagnani, energiczni, inteligentni i zdolni, siali na dalekich, dzikich pustkowiach ziarna postępu moralno-materyalnego. Na Syberyi w wielu miejscowościach wprowadzili oni ulepszone sposoby uprawy roli, zaaklimatyzowali wiele roślin owocowych i warzywnych, zaczęli systemem fabrycznym wyrabiać olej z orzechów cedrowych, który znalazł wielkie powodzenie na tak odległym rynku jak Moskwa. W zapadłych kątach pozakładali fabryki mydła i świec, stworzyli pszczelnictwo (na południu gub. Tomskiej, szczególnie w okręgu Bijskim, tudzież w lasach lipowych nad rzeką Tartasem w okręgu Tarskim, gub. Tobolskiej). Koło Nerczyńska założyli folwark wzorowy, za Bajkałem fabryki serów; na znacznych przestrzeniach obeznali ludność miejscową z pługami.

Są to ślady mimowolnej kultury i cywilizacyi, notowane niejednokrotnie w dziejach postępu ludzkości. Tak np. na przylądku Dobrej Nadziei zesłańcy zaaklimatyzowali winogrona; emigranci Francuzi we wschodnich dzielnicach Londynu pozakładali fabryki jedwabiu, tudzież nauczyli mieszkańców Saksonii wyrobu sukna i kapeluszów, które przedtem były monopolem Francyi. Niegdyś wzięci w niewolę Szwedzi nauczyli ludność gub. Orłowskiej kosić pszenicę, w Syberyi zaś pozakładali pierwsze szkoły. Inni przybysze sprowadzili z nad Wisły pszenicę i z powodzeniem ją zaszczepili na gruncie syberyjskim.

Obok działalności około udoskonalania środków istnienia materyalnego i szerzenia oświaty, ludzie dzielniejsi, wybitni pod względem inteligencyi, ukształcenia i wogóle zdolności umysłowych rozwinęli działalność naukową, byli pierwszymi dostarczycielami obfitych i cennych materyałów z dziedziny etnografii, geografii, geologii, fauny i flory syberyjskiej. Tacy właśnie przypadkowi badacze opracowali pomnikowe dzieła, weszli w skład Towarzystwa geograficznego i doznali szczerego poparcia tej instytucyi*).

To był grunt, który ułatwił studya i prace zorganizowane, przyczynił się do poznania rozległych krajów syberyjskich i rozwinięcia na nich wielkich przedsięwzięć ekonomiczno-kulturalnych. Kolej Syberyjska, która wymagała ogromu studyów mozolnych, stworzyła nowy okres podbojów nauki i techniki. To, co robiono przed tem, było światłem chwilowem i urywanem, jak brzask-zmrok podbiegunowy, oddzielający wąską krótkotrwałą smugą światła na widnokręgu dobę od doby w tym kraju długich nocy „ametystowych." Obecnie „zorza" ta rozlewa się szerzej i idzie od wschodu azyatyckiego ku chińskiemu. Utrwalenie zorganizowanego kredytu na terytoryach chińskich było pierwszym tryumfem pochodu ekonomicznego Rosyi. Z chwilą założenia Banku rosyjsko-chińskiego i jego filij niewątpliwie już były dokładnie obmyślane plany dalszej działalności, tj. kolej Wschodnio-Chińska, której zatwierdzenie słusznie nazwano wielkim tryumfem ekonomicznym i politycznym Rosyi. Tryumf ten zawarty jest w następujących zasadniczych punktach umowy:

Droga ta będzie przedłużeniem kolei Syberyjskich: Zabajkalskiej i Południowo-Usyryjskiej. Prowadzona przez terytoryum chińskie (Mandżuryę), wyjdzie od zachodniej granicy prowincyi Holungjang, dobiegnie do wschodniej granicy prowincyi Kirin i połączy się z odnogami wielkiej kolei Syberyjskiej, które rząd rosyjski wybuduje do granicy chińskiej. Towarzystwo akcyjne budowy kolei tworzy Bank rosyjsko-chiński; właścicielami zaś akcyj mogą być tylko poddani rosyjscy i chińscy. Roboty muszą być rozpoczęte najpóźniej 16 sierpnia r. b. i prowadzone tak szybko, żeby droga za lat sześć mogła być całkowicie gotowa i oddana do użytku. Czas eksploatacyi oznaczono na lat 80, chociaż po 36-ciu rząd chiński ma prawo wykupić kolej. Kapitał Towarzystwa wynosi pięć milionów rubli, podzielonych na 1,000 akcyj, po 5,000 każda. Oprócz budowania kolei, Towarzystwo ma prawo tworzyć i wyzyskiwać w Chinach kopalnie, tudzież inne przedsięwzięcia górnicze, przemysłowe i handlowe.

Program działalności jest więc nadzwyczaj szeroki, na podścielisku ekonomicznem, wobec czego powszechną uwagę zwrócić musi sam kraj, przez który ta linia ma przebiegać. Stanowi on najbardziej zaludnioną i najurodzajniejszą część Azyi północno-wschodniej. Cały obszar Mandżuryi obejmuje 800,000 wiorst kwadratowych i podzielony jest przez naturę na dwie pochyłości: północną i południową. Pierwsza zbiega ku rzece Amurowi, a po za nim do morza Ochockiego. Wody części drugiej spływają na południe, do morza Żółtego. Część północna jest prawie pięć razy większa od południowej, obie zaś bardzo się różnią od siebie pod względem klimatu, systemu wodnego, roślinności i kultury ziemi. Tym sposobem północny stok Mandżuryi nosi cechy Syberyi, jest jakby jej przedłużeniem, gdy południowy ma charakter ziem chińskich. Wogóle góry dzielą ten kraj na liczne doliny, obficie zroszone wodą i bardzo żyzne: podgórza zaś są pokryte pięknymi lasami. Mandżurya bardziej, niż kraj Usuryjski oddalona od zimnego morza Japońskiego, ma lato cieplejsze i wilgotniejsze; zna jednak silne mrozy. Roślinność nadzwyczaj bogata, lasy urozmaicone, orzechowe, przeplatane jodłą, sosną, dębem, klonem, lipą, jesionem, brzozą, akacyą i wielu innemi. W części zachodniej, ku Mongolii, rozwinęła się hodowla bydła, owiec, koni, wielbłądów; rolnictwo ważną gra rolę w bycie ekonomicznym ludności miejscowej. Uprawiane tam są: proso różnych gatunków, pszenica, kukurydza, jęczmień, owies, groch, tatarka, mak, ryż (w miejscowościach górzystych), tytuń, indygo, konopie. Wielkie ma znaczenie groch oleisty, z którego jest wyrabiany olej, cieszący się pokupem w Chinach. Wytłoczyny służą jako pokarm dla bydła i są używane do uprawy roli. Mak mandżurski zaczyna dziś już współzawodniczyć z indyjskim, tytuń cieszy się popytem śród ludności miejscowej i chińskiej. Rolnictwo ma przed sobą wielką przyszłość i już dziś zdobywa sobie rynki dalsze. Owies, jęczmień i pszenica w ilości około 300,000 pudów rocznie idą do obwodu Amurskiego. Z Chajlaru także do tego obwodu przychodzi co rok 10,000 sztuk bydła.

Mandżurya jest tedy krajem bardzo ponętnym dla roznosicieli kultury i cywilizacyi. Do Mongolii przemysł rosyjski już dotarł. Mandżurya wszakże lepiej uposażona przez naturę, leży bliżej morza i prowincyj chińskich, gęsto zaludnionych. Stąd otwiera się łatwa droga do Chin, Korei i Japonii, tu z czasem powstaną rynki rosyjskie, kolonie, fabryki. Świst parowozów i fabryk, łoskot machin i młotów, zgrzyt kół, szmer transmisyj, podziwem i trwogą wobec siły nieznanej napełnią Mandżurów, Daurów, Oroczonów, Birarzów, Goldów, Manegrów, Solonów, Eletów, Buryatów i Korejczyków. Ludność dwunasto milionowa, trudniąca się w pierwotny sposób hodowlą bydła i rolnictwem, ochłonie powoli z podziwu, porzuci pasterstwo i lemiesz, zejdzie z gór i lasów orzechowych, a znijdzie w podziemia do szacht nowych kopalni, stanie przy maszynie, piecu fabrycznym, warsztacie tkackim, wprzęże się do młota, zazna kultury, rozszerzy swoje potrzeby i praktycznie obezna się ze zjawiskami, stanowiącemi w świecie cywilizowanym gałęzie ekonomii politycznej, pozna „konjunktury" i przesilenia, pozna wstrząśnienia rynków towaru i pracy, słowem stanie się ogniwem tego wielkiego łańcucha wytwórczo - wymiennego, którym cały świat cywilizowany opasano

Jak widzimy, kolej Wschodnio-Chińska, a raczej tranzytowa odnoga wielkiej Syberyjskiej, ma doniosłe znaczenie ekonomiczne, jakkolwiek nie zgadza się z planami zwolenników kolonizacyi Syberyi. Wolą oni, ażeby kolej poszła w kierunku możliwie najprostszym od Krasnojarska do morza Ochockiego, z pominięciem nawet Irkucka. Wzdłuż takiego traktu łatwiej byłoby zapełnić Syberyę ludnością rolną.

Inne atoli pobudki wywołały umowę z Chinami. Linia Mandżurska ma *chwilowo* ułatwić wielkie dzieło komunikacyjne — połączenie Rosyi europejskiej nieprzerwaną linią z oceanem Spokojnym. Kolej Syberyjska będzie całkowicie ukończona za lat siedem lub osiem, tj. roku 1903—4. Odnoga chińska przyspieszy tę komunikacyę o rok lub dwa lata. Przytem owe *tranzito* da Rosyi nieocenione korzyści ekonomiczne i polityczne, bo nietylko wzmoże swój własny handel i przemysł, lecz stanie się pośredniczką wymiany między Europą a Wschodem dalekim. Z traktu tego będą korzystać Japończycy i Chińczycy. Zresztą są tu inne pobudki, które otwarcie wypowiedział niedawno p. Wasiljew w *St. Pet. Wied.* Twierdzi on, że gdyby zechciano rząd chiński energicznie nacisnąć, oddałby on całkowicie terytoryum mandżurskie w gospodarczą opiekę Rosyi.

Traktat rosyjsko-chiński na podkładzie ekonomicznym wywołał silne wrażenie w świecie politycznym Zachodu i liczne komentarze prasy europejskiej. Widzi

*) Świeżo wydała ona swoim kosztem piękne i olbrzymie dzieło Sieroszewskiego p. t. „Jakuci." Na takie wydawnictwo może się zdobyć tylko instytucya zasobna i ceniąca rzetelnie pracę tego rodzaju.

ona w tym kroku utrwalenie przewagi i wpływu politycznego Rosyi w Chinach. *National Zing* np. rozumuje, że jeżeli Rosya uzyska od Chin budowę kolei żelaznych do Port-Arthuru i Ninczwang, tudzież jeżeli porty na półwyspie Szentung i Port-Arthur będą otwarte dla floty rosyjskiej wojennej, dostanie się ona wtedy swobodnie na ocean Spokojny, z pominięciem niewygodnego, wązkiego przejścia z północy na południe między lądem stałym a Japonią. Przepływ ten raz już Anglia zamknęła przy zajęciu wyspy Quelport i Portu Hamiltona. W przyszłości taka przeszkoda Rosyi nie grozi, a co ważniejsza — uzyska ona nietylko przepływ swobodny, lecz korzystać będzie z portów niezamarzających.

Anglię zatem czeka porażka. Bezpośrednio zainteresowana, stara się ona za pomocą swej prasy rzucić światło na te stosunki i osłabić ich znaczenie. Między innemi *Standard* kładzie nacisk na znaczące zastrzeżenie, że tylko poddani rosyjscy i chińscy mogą być akcyonaryuszami nowej kolei. Ale przypomina zarazem, że niedawno syndykat amerykański otrzymał koncesyę na budowę kolei w Chinach właściwych, która w urzędowych ogłoszeniach była zastrzeżona tylko dla założycieli chińskich. Francya także ma linię w Tonkinie.

„Chociaż przez wyzwolenie Chin od surowych kar, jakie na nie ściągnęła wojna japońska — pisze organ powyższy — Rosya zyskała niezmierny wpływ i powagę, znany jest przecież wstręt Chińczyków do kolei obcych i zadziwiająca zdolność mandarynów niespełniania w praktyce obietnic, złożonych na papierze. Wobec tego nie trzeba być zanadto pochopnym do przypuszczeń, że inżenierowie kolei Mandżurskiej jednym skokiem dosięgną zatoki Peczili. Przyjaźń polityczna bywa wątła; nigdy zaś łaska dworu tak szybko nie mija, jak w Pekinie. Angielscy mężowie stanu powinni czuwać; rozumne jednak wyzyskanie sposobności ułatwi zrównoważenie wpływów. Kupcy i finansiści angielscy nie mają powodu żalenia się na powodzenie jakiegokolwiek obcego mocarstwa w rozbijaniu murów zachowawczości chińskiej. Gdzie inni idą, my tam już będziemy z pewnością."

Te jednak wywody niezupełnie są oparte na logice faktów. Pomijając bowiem wątłość przyjaźni politycznej i zmienność łaski dworu chińskiego, należałoby pamiętać o tem, że są inne czynniki, wpływające na trwałość stosunków i rzetelne wykonanie zobowiązań, przyjętych przez Chiny: *potrzeba* i *obawa*.

Zen. Piet.

O PRAWDĘ.

W sprawie ostro osądzonych przez p. Wolskiego wychowańców dąbrowskiej szkoły górniczej odebraliśmy wiele listów, z których dwom tylko możemy dać miejsce, usunąwszy z nich zdania, bezpośrednio przedmiotu niewyjaśniające. Wyczerpują one całość argumentów.

I.

Przy wydawaniu sądów w danej sprawie rządzić się osobistemi sympatyami, stawiać gołosłowne twierdzenia zamiast faktów, fakty naciągać i oświetlać je w ten sposób, żeby patrzący widzieli tylko ujemne ich strony — są to systemy nie nowe i nieraz już ze skutkiem, niestety, używane.

W nr. 5 *Prawdy* umieszczony był list, w którym p. Adolf Wolski, inżenier górnik, czyni wychowańcom szkoły górniczej rozmaite, mniej więcej życzliwe uwagi, a również podaje formuły idealnego wychowańca, który powinien przedstawiać „człowieka wytrwałego fizycznie, rozwiniętego umysłowo i zamiłowanego w zawodzie." Gdy ideałem tym zaczyna mierzyć wychowańców szkoły dąbrowskiej, dochodzi do wniosku, że „w swej formie obecnej ona przemysłowi naszemu żadnych usług oddać nie jest w stanie."

Zwróćmy się do faktów.

Szkołę dąbrowską ukończyło dotychczas 82 wychowańców; z pomiędzy nich obecnie zajmuje miejsca: sztygarów 28, majstrów i dozorców fabrycznych 13, pracuje za robotników 13, dozorców w kopalniach 9, we Freiburgu 5, w biurach technicznych 4, zawiadowców fabryk 3, odbywa powinność wojskową 3, chwilowo bez miejsca 3, umarł 1.

Sztygar zaś i dozorca w kopalni, majster w fabryce muszą z obowiązku swego wskazywać robotnikom sposób pracy—w tym celu ich trzymają; a tego rodzaju zajęcie można chyba zaliczyć do kategoryi oddawania usług przemysłowi.

Powyższe dane (choć nie w zupełności) można było znaleźć w przedstawionej na zjeździe broszurze: „Materyały o reorganizacyi ustawy w dąbrowskiej szkole górniczej." Tej broszury p. W. nie czytał widocznie, zauważyłby bowiem, że projekt przedłużenia wstępnej praktyki do jednego roku wyszedł właśnie od Rady szkolnej, której p. Bryłkin na zjeździe był przedstawicielem; jest to, delikatnie mówiąc, omyłka, służąca jednak za podstawę do różnych elukubracyj umysłowych contra pp. Iwanow, Bryłkin i sprawozdawca *Prawdy*.

Dalej p. W. powiada, że „pracownicy wykształceni powinni szukać zamiłowania do pracy w rozumowem, że tak powiem, filozoficznem badaniu techniki swego zawodu." Zgoda, ale w takim razie dlaczego tej słodkiej recepty nie przepisuje młodym inżenierom, których „dyrektor. Niemiec wprzęga do najprostszych czynności (ciągnienie wózków) na czas nieograniczony i praktykuje go (?) dotąd, dokąd ostatecznie nietylko ciągnienie wózków, ale świat cały człowiekowi nie zbrzydnie." Przecież ci „adepci najlepszych chęci" przy tego rodzaju zajęciach i tego rodzaju chęciach mieliby całą masę sposobności robić owe „drobne zmiany w narzędziach używanych," a zdobywszy na tem polu cokolwiek praktyki, czynić dopiero z lepszym skutkiem rozmaite doświadczenia, które zawsze drogo kosztują a nie zawsze się udają, o czem autor listu w nr. 5 *Prawdy* miał sposobność podczas swego krótkiego pobytu w Kuźniakach przekonać się. Niedaleko stamtąd, w Stąporkowie, również przekonać się można było, iż są wychowańcy szkoły dąbrowskiej, robiący analizy chemiczne lepiej, niż ówczesny dyrektor Stąporkowa — p. Wolski. Że tego ostatniego rodzaju zdarzenie nie usposabia dobrze dla wychowańców, więc stawia się zarzut używania przez „bardzo wielu" *wracających* z Freiburga fałszywych tytułów na biletach wizytowych. Czy o pięciu można mówić, że to jest „bardzo wielu," to zależy od poglądów czysto indywidualnych; czy jednak od tych pięciu można żądać, ażeby czteroletni kurs Freiburga skończyli w przeciągu lat *trzech* (pierwszy z wychowańców pojechał do Fr. w r. 1894), nie jest to chyba kwestyą, wymagającą głębokich rozmyślań.

Na jedno zdanie z owego listu można się zgodzić „z przyjemnością": nietylko w szkole dąbrowskiej, ale i w innych dziedzinach potrzeba nam ludzi „z mniejszem wykształceniem, lecz większym rozwojem umysłowym." Dowodem — cały list p. Adolfa Wolskiego.

Tytus Filipowicz,
b. wychowaniec szkoły górniczej.

II.

Jakby rehabilitując się z tego, że wbrew swym „postępowym" zapatrywaniom świadomie stanął w sprawie szkoły górniczej w obozie „wstecznym," p. W. wyłuszcza pobudki, które go do tego skłoniły, a właściwie stara się zgóry zaznaczyć, że *Prawda* w tym wypadku zmieszała pojęcia „postępowy" i „wsteczny." Przedstawiwszy w smutnem świetle pracę górnika — smutniej, niżbym to ja zrobił — o której mówi, że tylko zdrowy organizm może ją chwilowo bez przykrości znosić, p. W. uważa za czyn „humanitarny" naginanie ludzi do takiej pracy. Tymczasem humanitaryzm powinien starać się o złagodzenie warunków tej pracy już to drogą społeczną, już techniczną. Bo gdy go przystosowywać będziemy do tego, co istnieje, to ludzkość na krok się nie posunie. Recepta, jaką p. W. przepisuje niższym technikom, staje się wręcz przeciwną w skutkach dla młodzieńca z wyższem ukształceniem; przyprawia go ona o mdłości, wstręt nietylko do zawodu, ale i do życia tak, że zmuszony jest ratować się ucieczką, często aż wgłąb państwa, gdzie zdobywanie stanowisk jest łatwiejsze. A owa dusza, którą niższy technik ma wówczas wlać w swój zawód? Ta prawdopodobnie tym razem wstępuje w pięty i dopomaga mu do szybszego posuwania się ku wschodowi.

Ci inżenierowie, którzy zostali w zagłębiu dąbrowskiem, jako zwierzchnicy b. wychowańców szkoły górniczej, słusznie żądają od nich pracy fizycznej w większym przeciągu czasu, gdyż sami zwykle przejść ją musieli, bądź jako chwiowi robotnicy, bądź jako niżsi technicy. Zyskują oni przez to powagę dla swych wymagań. Typ wytrzymałego sztygara lub majstra przedstawili na zjeździe nietylko przemysłowcy, ale i rada szkolna. Niesłusznie p. W. przypisuje to jedynie sobie.

O obecnych wychowańcach szkoły brzmi wyrok p. W.: „że żadnych usług przemysłowi oddać nie są w stanie." To dziwne. Więc około 30 z nich, zajmujących stanowiska sztygarów, majstrów itd., miałoby być tylko pasorzytami tego przemysłu? Dziwna filantropia ze strony przemysłowców! Tegoż rodzaju sfinksową zagadkę stawiam przy banalnej uwadze, że b. wychowańcy szkoły, „to niedoszli ministrowie, prezesowie." Więc młodzież, zapełniająca kilka nowopowstałych szkół zawodowych, a będąca tego pokroju, co i górnicza, miałaby wraz ze swymi rodzicami składać się z rozczarowanych maniaków wielkości? „Niedoszli prezesowie," „ministrowie," „wyrzutki społeczne," „wypędki," epitety, jakimi nas, tj. większość społeczną darzą ci wybrańcy losu, którym udało się przejść przez rutynę szkolną, aż do jej końca, pozostawiając nas w tyle z tytułem „trzy- czteroklasowego" lub „niższego technicznego" wykształcenia są już przestarzałe, żeby mogły być zjadliwe, a przedewszystkiem w życiu codziennem niepraktyczne. Zaczyna wchodzić w zwyczaj poczytywanie wszystkich ludzi za ludzi, i to ma być lepsze.

O wykształceniu teoretycznem wychowańców szkoły górniczej p. W. powiada, że jakkolwiek mogą oni być biegli w algebrze, trygonometryi, paleontologii, w praktyce jednak nie ujawniają tego. Jeżeli ci, z którymi p. W. miał do czynienia, nie mogli czegoś ujawnić w praktyce, to i on temu winien; trzeba było im w tem dopomódz, a co umieli — wyzyskać. Daję przykład. Paleontologia ma najmniej pola do ujawniania jej w praktyce przez sztygara. Nauczyciel tego przedmiotu w szkole, inż. Kontkiewicz, uzyskawszy fundusz od rządu, układa mapę geologiczną gór kieleckich przy pomocy b. wychowańców szkoły. Znany z sumiennego traktowania swych zadań naukowych p. Kontkiewicz nie powierzałby nam tej roboty, gdyby siłom naszym nie ufał. Robota trwa cztery lata i jest na ukończeniu. Wartość jej naukową oceni po ogłoszeniu krytyka; obecnym rezultatem jest bogaty materyał paleontologiczny, jedyny z kraju i w kraju.

Boli p. W. to, że kilku sztygarów pojechało kształcić się za granicę. Jeżeli mają środki materyalne — co to może komu szkodzić? Raczej należałoby im życzyć wytrwania w trudnym zamiarze. P. W. zgóry zapowiada, że z nich nic nie będzie i że robią to przez wstyd do pracy mięśniowej. Dlaczegóż ja tym, niczem nieopartym frazesem, nie mógłbym objaśnić sobie wyższego wykształcenia p. W.? Dostaje się zarazem i tym wszystkim technikom, którzy kształcili się za granicą a nie posiadają patentu państwowego, nadomiar złego zajęli kilka niezłych stanowisk. Według p. W., pełno ich (tytułujących się na biletach wizytowych inżenierami) w Dąbrowie i okolicy. Z wychowańców szkoły żaden jeszcze nie powrócił.

Daleki jestem od wygłaszania poglądów na poruszoną przez zjazd sprawę reformy szkoły, zaznaczam jednak, że wielu zwolenników ograniczenia jej kursu do lat trzech miało na uwadze poważniejsze względy, niż p. W., chociażby chęć udostępnienia nauki młodzieży warstw uboższych, odpowiedniejszej do zawodu górniczego, zwłaszcza miejscowej, górniczej.

P. W. chodzi przedewszystkiem o to, aby przy pomocy ciężkiej pracy zgnębić „tę nadmierną" ambicyę sztygarów.

Gdy p. W. będzie kiedy miał podwładnych sobie sztygarów, może ich się pozbyć lub podług swego systemu wyrobić, a owe wady, jeżeli się w nich okażą, wykorzenić. Bo życie urabia człowieka, nie tylko szkoła. Są zakłady przemysłowe, gdzie przy dobrej organizacyi praca pod kierunkiem dzielnych zwierzchników daje lepszą rekomendacyę znajomości zawodu, niż świadectwa szkolne. Młodzież, jako wychowańcy pewnego zakładu, będzie mniej więcej jednego typu, czy to w szkole sztygarów, czy w seminaryum nauczycielskiem. Przebijać się w niej będą cechy narodowe, a my nie jesteśmy narodem przemysłowym, z łona którego samem teoretycznem kształceniem możnaby wytwarzać dzielny materyał fachowy. Wreszcie p. W. w swej niewstrzemięźliwej krytyce zapomina, że wyszła już czwarta serya ze szkoły górniczej, że pierwsi jej wychowańcy są już na stanowiskach odpowiedzialnych, dojrzali, nawet niektórzy i żonaci, chodzi więc im o szacunek u ludzi i opinię u ogółu. Ci niedoszli ministrowie, pozerzy na dyrektorów itd. z własnej inicyatywy założyli stowarzyszenie wzajemnej pomocy niższych techników górniczych, zatem nie przemilczą publicznego traktowania ich jako niesfornych smarkaczów, zwłaszcza gdy traktujący sam niewiele przechodzi wiekiem wielu z nich. Na obecną młodzież szkolną wystąpienia tego rodzaju wpływają szkodliwie: przedwcześnie zapala się ona skrytą nienawiścią do przyszłych zwierzchników, apatycznie usposabia się do zawodu, a z odpowiednim wiekowi temperamentem (lat 17—20) pochopną jest do wybuchów. Przytem osłabia się wpływ tych przedstawicieli przemysłu, którzy są i pedagogami szkoły, a którzy oddziaływać na nią powinni.

P. Przesmycki,
b. wychowaniec szkoły górniczej.

W DALI

Lublin. Według wiadomości z Petersburga, niezatwierdzone dotychczas projekty, dotyczące Królestwa Polskiego, a w tem sprawa służebności i utworzenia gub. Chełmskiej, mają być zwrócone do uznania Generał-Gubernatora Warszawskiego, J. O. ks. Imeretyńskiego. — Projekt Towarzystwa muzycznego w Lublinie wkrótce ma być złożony do zatwierdzenia władzy. — *Praw. Wiestn.* ogłasza Najwyższy Ukaz, polecający rozpoczęcie budowy szosy od stacyi kolei Trawniki do wsi Fajsławice w gub. Lubelskiej, oraz wywłaszczenie gruntów, pod tę szosę przeznaczonych.

Wilno. Czytamy w *Kuryerze Warsz.*: „Ciekawą i niepozbawioną praktycznego znaczenia kwestyę wyjaśnia świeżo ogłoszone orzeczenie senatu, uchwalone d. 22-go stycznia (st. st.) 1896 r. na ogólnem zgromadzeniu pierwszego i kasacyjnego departamentów senatu. Głosi ono, że nieruchomość, położona w Wilnie, kupiona ongi od skarbu z zastrzeżeniem, iż nabywca i jego zastępcy podlegać będą przepisom ustawy z d. 23-go lipca r. 1865, zakazującym zbywania nieruchomości osobom pochodzenia polskiego, przestaje podlegać temu ograniczeniu od chwili przejścia na własność banku, który na jej zastaw udzielił był właścicielowi pożyczki. Bank tedy, zostawszy właścicielem takiej nieruchomości, może następnie sprzedać ją osobie pochodzenia polskiego bez potrzeby wyjednywania na to zezwolenia ministra dóbr państwa." — W Postawach, w gub. Wileńskiej, otwarto stacyę telegraficzną korespondencyi międzynarodowej.

Odesa. Rząd wyznaczył na koszta urządzenia wydziału lekarskiego przy uniwersytecie odeskim 1.556,600 rs. W roku zeszłym wydano z tego 195,000, a na rok bieżący wyasygnowano 300,000 rs. Komisya budowlana dzięki tym fonduszom zakończy budowę osobnego gmachu anatomicznego instytutu, a oprócz tego w końcu bieżącego roku szkolnego oddane będą do użytku wydziału, przy głównym korpusie: laboratoryum chemiczne i fizyczne. Zaprowadzono kursy przy uniwersytecie odeskim jeszcze w roku zeszłym, mające na celu kształcenie szerszych mas społecznych, bez różnicy stopnia naukowego i płci. Obecnie rozwijają się one; w tych dniach rozpoczną się wykłady nowych przedmiotów: fizyologii i psychologii. Lekcye odbywają się w godzinach popołudniowych, aby ułatwić wstęp osobom, zajętym poza domem. Między słuchaczkami jest wiele z gubernii Podolskiej i Wołyńskiej.

Petersburg. Jako rezultat zjazdu przemysłowo-handlowego w Niższym Nowogrodzie, jest długi szereg zabiegów w sprawie ukształcenia technicznego. Oto w jaki sposób ugrupowano te ważne potrzeby: 1) Wynaleźć środki uprzystępnienia młodzieży wszystkich wyższych szkół technicznych; nadto stworzyć nowe, również z programem szerokim. 2) Stworzyć stypendya dla wysyłania za granicę techników, którzy zapragną udoskonalić się w swym fachu. 3) Zachęcać profesorów szkół technicznych do wygłaszania odczytów popularnych. 4) Otworzyć w ogniskach przemysłowych szkoły w celu przygotowania majstrów do odpowiednich gałęzi produkcyi miejscowej. 5) stworzyć dla robotników klasy niedzielne i wieczorne i w tym celu uprościć formalności. 6) Urządzić konkursy palaczów. Stworzyć szkołę oraz instytut palaczów instruktorów w różnych okręgach przemysłowych. 7) Rozwinąć naukę budownictwa. 8) Otworzyć specyalną szkołę fotograficzną z oddziałem dla kobiet tudzież oddziałem rysunków technicznych (foto-mechanicznych). 9) Drogą prawną pozwolić instytucyom społecznym, towarzystwom prywatnym i osobom pojedynczym urządzać dla robotników dorosłych i młodzieży odpowiednie szkoły niedzielne i wieczorne. 10) Ułatwić tworzenie i rozszerzanie bibliotek dla robotników. 11) Otworzyć w miejscowościach fabrycznych osobne szkoły uzupełniające, w celu usunięcia „recydywy analfabetyzmu" tudzież rozszerzenia wiedzy elementarnej, nabytej na wsi.

KRONIKA.

Nowy kurator. Następca p. Apuchtina, jak wiadomo, mianowany został profesor uniwersytetu i prezydent miasta Odesy, Ligin. Ze słów Najwyższego Reskryptu do ustępującego kuratora niektóre gazety rosyjskie wyciągają pocieszający jo wniosek, że następca będzie szedł drogą i dążył do celów swego poprzednika. My o nowym kuratorze nie posiadamy żadnych szczegółowych objaśnień. Wiadomo nam tylko, że w Odesie miał on wielkie uznanie jako gospodarz miasta i że w nauce zaznaczył się przeważnie badaniami jako przyrodnik. Istnieje nawet osobna odmiana ozdobnego dębu, ochrzczonego jego imieniem, rozpowszechniona w ogrodach przez Spätha pod nazwą *Quercus umbraculifera Ligini.*

Wiadomości społeczne. Główny zarząd więzień wydał sprawozdanie, dotyczące dzieci osadzonych w oddziałach poprawczych. Do d. 13 stycznia 1895 r. w 22 zakładach znajdowało się 1,214 małoletnich przestępców. Z liczby tej osadzono: 833 z wyroków sądowych, 118 na mocy rozporządzeń władz administracyjnych, 29 z Rozkazu Najwyższego i 12 na żądanie rodziców. Recydywistów było 32. Co do wieku: 4 liczyło po lat 9, 14 — od 9 do 10, 27 — od 10 do 11. Największa liczba przypadała na wiek od 15 do 16 lat. Co do przestępstw: 711 za kradzież i zbywanie rzeczy kradzionych, 5 za grabież i rozbój, 15 za podpalenie, 8 za przestępstwa przeciw moralności, 5 za zabójstwo i zamiary zabójstwa, 1 za obrazę rodziców i 1 za świętokradztwo. Co do prowadzenia się dzieci w murach zakładów, zanotowano: 64 wypadki zbiegowstwa, 149 kradzieży, 3 zamachy samobójcze, 115 wypadków pijaństwa, kłótni itd.

— *Kuryer. Warsz.* donosi, iż grono tutejszych subiektów w handlach wódek wystosowało podanie do władzy z prośbą o udzielenie posad w przyszłym handlu, zmonopolizowanym przez rząd. Powołują się oni na krytyczne położenie z chwilą zamknięcia zakładów prywatnych.

— Z powodu setnej rocznicy urodzin Józefa Korzeniowskiego, przypadającej 19 marca r. b., postanowiono odbić w Warszawie medal pamiątkowy.

— *Mirowyje Otgołoski* pisze: „Dowiadujemy się, że ministeryum spraw wewnętrznych nie zaniechało zamiaru przekształcenia zarządów miejskich w Królestwie Polskiem; reforma jednak dokonana będzie na innych zasadach, niż projektowano dotąd.

— Postanowiono czas w całem Królestwie Polskiem obliczać podług południka warszawskiego, we wszelkich instytucyach urzędowych.

Stypendya imienia M. Kopernika. P. rektor uniwersytetu warszawskiego rozesłał następującą odezwę urzędową: „W roku bieżącym wykładowym 1896/7 pobierają stypendya i wsparcia z funduszu im. Mikołaja Kopernika następujący studenci sekcyi matematycznej wydziału fizyczno-matematycznego: 1) Aleksander Moskwin z 2-go kursu, 2) Sergiusz Neapolitański z 2-go kursu, 3) Aleksander Pospiełow z 2-go kursu i Michel Geldblum z 4-go kursu w sumie ogólnej 525 rs. Oprócz tego w roku bieżącym wykładowym korzysta ze wsparcia z funduszu im. M. Kopernika w sumie ogólnej rs 300 kandydat-stypendysta przy katedrze mechaniki uniwersytetu warszawskiego, kandydat nauk matematycznych, Dmitry Gontarew."

Mianowania. Naczelnik kancelaryi zwijanego zarządu warszawskiego okręgu żandarmów, pułkownik Markgrafski, mianowany naczelnikiem kancelaryi pomocnika generał-gubernatora warszawskiego do spraw policyjnych. Starszy adjutant tegoż zarządu, rotmistrz Wołkow — pełniącym obowiązki pomocnika naczelnika tejże kancelaryi.

— Szambelan Izwolski — posłem przy dworze serbskim.

— P. Iwanow — zarządzającym koleją Dąbrowską.

Odczyty. Na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności odbędzie się szereg odczytów w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Mówić będą: d. 7 marca p. Stanisław Belza: „Nad Złotym Rogiem" (ilustr. obrazami niknącymi); 11-go J. J. Boguski: „Energia promienista" (z doświadczeniami); 14-go i 18-go Walery Gostomski: „Ryszard Wagner i jego trylogia"; 21-go Ksawery Sporzyński: „Na krańcach Norwegii" (obrazy niknące); 25-go i 28-go Antoni Pilecki: „Przyroda w poezyi"; 1-go kwietnia: Maksymilian Flaum: „Mózg i żołądek" (obrazy niknące).

Szkoły. Istnieje zamiar zmiany progimnazyum przy ul. Gęsiej na gimnazyum klasyczne (VII-me), oraz otwarcia nowego gimnazyum klasycznego (VIII-go) w dzielnicy Grzybowa. (*Kur. Codz.*).

— Towarzystwo pracowników handlowych wyznania mojżeszowego krząta się około zorganizowania szkoły handlowej wieczornej dla swych członków i ich rodzin.

Koleje i komunikacye. Obowiązująca dziś taryfa przewozowa towarów, idących z Petersburga, Moskwy, Tuły, Charkowa, Kijowa, Warszawy, Łodzi i Sosnowca do portów morza Śródziemnego przez Odesę, ma wkrótce uledz radykalnej przeróbce. (*St. Pet. Wied.*).

— W ministeryum komunikacyj znajduje się obecnie przeszło 80 projektów budowy nowych kolei (*Łucz*).

— Zamierzonem jest urządzenie na Wiśle pod Warszawą przystani dla statków parowych, berlinek itp. Zarząd komunikacyj polecił już sporządzić plany i kosztorysy w celu wyjednania potrzebnych funduszów. (*Kur. Codz.*).

Gospodarka miejska. *Kuryer Warsz.* podaje następujące szczegóły: „W tych dniach prezes zarządu kolei konnej, p. Władysław Kiślański, wystąpił do magistratu warszawskiego z propozycyą podjęcia się oświetlenia elektrycznego Warszawy na warunkach współzawodnictwa z innemi firmami, starającemi się o takąż koncesyę. Propozycya ta łączy się ściśle z zamiarem zastosowania siły elektrycznej do obsługi tramwajów miejskich. Gdy przed rokiem w magistracie rozpoczęły się pierwsze obrady nad ułożeniem warunków koncesyi na tramwaje elektryczne, a jednocześnie nadszedł termin, w którym miastu służy już prawo wykupu sieci tramwajów, Towarzystwo belgijskie zaczęło czynić studya przygotowawcze i opracowywać kosztorysy zamiany siły pociągowej koni przy tramwajach na siłę elektryczną, przyczem stowarzyszenie kapitalistów brukselskich zaprojektowało zużycie siły elektrycznej stacyj centralnych jednocześnie do tramwajów i dla oświetlenia ulicznego. W ten sposób wła-

śnie powstała propozycya, złożona magistratowi. Według projektu Towarzystwa belgijskiego, w mieście będą cztery stacye do wytwarzania siły elektrycznej, a mianowicie: w trzech punktach teraźniejszych remiz, na Muranowie, w Mokotowie i na Pradze, oraz na przedmieściu Woli, gdzie również będzie „depo“ tramwajów elektrycznych.

Katastrofy kolejowe. D. 22 lutego na 180-ej wiorście (od Moskwy) kolei Kazańskiej, oderwały się od pociągu towarowego 24 wagony, które biegnąc po pochyłości w odwrotnym kierunku, wpadły na pociąg pocztowy, stojący przy platformie stacyi Razań. W pociągu towarowym rozbiło się 6 wagonów, w pocztowym uszkodzone: bagażowy, pocztowy i jeden 3-ej klasy. Poniosły szwank trzy osoby ze służby kolejowej i czterech podróżnych.

Zmarli. Dr. Aleksander Wolff, w Warszawie: starszy ordynator oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu ewangelickim. Od r. 1870 do 1876 był asystentem przy katedrze chemii lekarskiej: założył pracownię chemiczną prywatną, zastosowaną do badań chemicznych i drobnowidzowych w celach lekarskich.

— Hyacynt Gallina, dramatopisarz włoski, w Wenecyi. Pisywał wyłącznie w dyalekcie weneckim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Lektorowi. Naprzód, pochodzenie autora nie należy do rzeczy. Powtóre, nie mówił on o „wszystkich.“ Potrzecie, „tolerancya“ dla takich głosów jest konieczną. Poczwarte, dojrzał Pan tylko zarzuty i wyrzuty, a nie dojrzał smutku i życzliwości.

Z. M. W. Dwa pierwsze sonety po usunięciu pewnych usterek byłyby godne druku. Dwa drugie — słabsze.

Pytającemu. Dokładnego adresu zakładów, zajmujących się zamrażaniem mięsa, wskazać nie umiemy. Znajdzie Pan szczegóły w „Les grandes fabriques de viandes en Australie“ (*Revue des Revues*, 1896, 1 Octobre), oraz w artykule Leroy Beaulieu: „L'Australie et la Nouvelle Zelande“ (*Revue des deux Mondes*, 1890).

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Февраля 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.